Nr. 48. Warszawa, dnia 15 (27) Listopada 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Delegacye w Wiedniu.

Zagajenie obu delegacyj przez cesarza Franciszka w d. 17 b. m. i t. zw. w żargonie dyplomatycznym *expose* hr. Gołuchowskiego w d. 26 b. m. w komisyi spraw zagranicznych delegacyi węgierskiej—przyciszyły na chwilę nieklasyczną wrzawę, rozchodzącą się po całej Europie z klasycznego przybytku Rady państwa w Wiedniu. Oba te objawy dyplomatyczne — takiemi bowiem z istoty swej być one musiały — miałyby prawo zwrócić na siebie uwagę powszechną nawet wtedy, gdyby przez samą odmienność swoją nie odbijały się jaskrawo od tła, do którego Niemcy czescy przyzwyczaili już oko europejskie. Po wodnistych ogólnikach kilku lat ostatnich, w tej samej okoliczności wypowiadanych, cesarz austryacki tego roku w przemowieniu swojem ukazał już pochwytne kształty myśli, a jego pierwszy minister, kształtom tym nadając szczegółową wybitność, dał się porwać nie dyplomatycznemu już, nie ministeryalnemu nawet natchnieniu — i poszybował w sferę przyszłości, niedaleko wprawdzie, bo tylko w wiek dwudziesty; zawsze jednak oderwał się od swego prawowitego gruntu — dnia dzisiejszego i chwili bieżącej.

W mowie ces. Franciszka ważne są dwa punkty: zapewnienie, że trójprzymierze stanowi podstawę polityki austro-węgierskiej i stwierdzenie, że, w dążeniu do dobrego pożycia ze wszystkimi, stosunek z Rosyą ułożył się tak przyjaźnie, iż stanowi dziś jednę więcej rękojmię pokoju. Skutkiem takiego ustosunkowania się obu mocarstw do siebie cesarz nie wspomniał już wcale o półwyspie Bałkańskim: owa przyjazność bowiem pokrywa rzeczywiste przeciwieństwa interesów, które dotychczas występowały jawnie na widowni słowiańsko-tureckiej. Hr. Gołuchowski wytłomaczył Węgrom, że postanowiono te przeciwieństwa zobojętnić i wyrzeczono się wszelkiego wpływu jednostronnego na półwyspie. Austrya nie będzie miała nie przeciwko zamysłom Rosyi w innej stronie; wyjednała sobie tylko nietykanie półwyspu, nawzajem zaciągając równoważny względem mocarstwa północnego obowiązek. Jest to zatem zawieszenie broni dyplomatyczne, zobowiązanie się do niedziałania aż do czasu — wszystko, co można było osiągnąć. Mógł też śmiało dr. Falk, sławny z roku na rok referent od spraw zagranicznych w delegacyi węgierskiej, powiedzieć, że cesarz z ministrem tak mądrze wszystko prowadzą, iż sprawozdawca nie zdołałby nic mędrszego wymyśleć, i to mu właśnie zadanie sprawozdawcze utrudnia.

Hr. Gołuchowski mówił szeroko o dobrodziejstwach „koncertu“: zapobiegł on starciu, a to już do sławy jego wystarcza. Mówił p. Gołuchowski o swoim projekcie blokowania Krety, blokowania póki czas; opór Anglii opóźniając zbawczy ten środek, odjął mu istotną, zamierzoną przez ministra, użyteczność. Anglia również oparła się projektowi niemieckiemu, blokowania samej już Grecyi, wtedy, gdy ta zabierała się dopiero do wojny, a mogła być powstrzymaną w zapędzie. Ostatecznie „koncert,“ ocalając pokój, nie skrzywdził i Grecyi; skargi jej są skutkiem rozgoryczenia klęską. Europa nie opuści Greków, ale potrzebuje z ich strony uległości. Tak wyczerpawszy politykę robiącą dzieje w wielkim stylu, minister przerzucił się do polityki interesów ekonomicznych Europy. Zagraża im współzawodnictwo Ameryki, zagrażają kolonie, wszystkie krainy zamorskie produkcyjne. Wielką sprawą ludzkości europejskiej w wieku XX będzie mocowanie się o byt w dziedzinie obwarowywanej przez politykę handlową. W w. XVI i XVII wrzały walki religijne; w XVIII — umysłowe, o wolność; nasz wiek wydany jest na walkę narodowości; w XX-ym najżywotniejsze będą zagadnienia ekonomiczno-handlowe: proroctwo ułomne — bo pomija ten prąd, który już nie proroka, ale prostego tylko widza potrzebuje, aby zaświadczyć o sobie, że nietylko być może i będzie, ale już jest.

Wbrew p. Gołuchowskiemu hasła owych dawniejszych już wieków, z któremi stykamy się tylko w książkach i instytucyach, przeważnie szczątkowych — mogą w XX-ym jeszcze zabuczeć; ten zaś symbol, który p. Gołuchowski daje naszemu wiekowi, ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo władzy nad umysłami i w owej wróżonej epoce ekonomii, handlu i walki o byt ekonomiczno-handlowy: sam zbrojny pokój, przekazywany w dziedzictwie, zapewnia zasadzie niespożytość. Jeśli kiedykolwiek zbroję przywdzianą przez pokój wdzieje na siebie wojna, nie same tylko państwa, ale i narody z sobą walczyć będą, a im bardziej wzrośnie militaryzm skierowany na zewnątrz, tem mniejsze jest prawdopodobieństwo wypalenia się tego ideału, w którym p. Gołu-

chowski streszcza duchową indywidualność naszego wieku. Zarówno daleki jeszcze od kresu proces wytwarzania się wielkich państw narodowych na stałym lądzie Europy, jak wreszcie silna samowiedza etnograficznych całości — zbijają proroczy domysł — jakoby wiek nadchodzący za jedynie wielki, wszystkich jednoczący sztandar obrać sobie miał walkę o byt ekonomiczny ze światem za morzami leżącym. Teza się nie ostoi.

Tydzień polityczny. Izba deputowanych Rady państwa w Wiedniu d. 22 b. m. uchwaliła zapomogę dla krajów nawiedzonych przez powodzie. Na wniosek prezesa postanowiła we środę wziąć po rozbiór uchwalony już przez komisyę projekt ugody z Węgrami. Niemcy krzyknęli w niebogłosy: „Nie damy się wyprzeć ze stanowiska!“ — „Nie pulpity, ale wszystko zdruzgocemy!“ — „Nowy gwałt zadany konstytucyi!“ — itp. Chcą oni rozprawiać tylko nad oskarżeniem ministrów — które jako robota sejmowa, jest pieczeniem babek z piasku za pomocą wody. Wyjście projektu z komisyi samo już gniew ich podnieca. Prezydyum nie usuwa oskarżeń: owszem rozprawiać nad niemi pozwala Niemcom w dzień; wieczory od 7-ej do 1-ej w nocy przeznacza na ugodę. Najzuchwalszy optymizm nie spodziewa się dopłynąć przed 12 grudnia; ale jeśli dopłynie, choćby tylko przed samemi świętami — będzie to tryumf niepospolity, w dziejach sejmowania jedyny, wytrwałości i rozsądku nad zażartością i ślepotą. Na drugiego wiceprezesa Izby obrany Fuchs z prawicy. Złożony delegacyom budżet wspólny wydatków dochodzi do 158,385,748 guldenów. — Zatarg z Turcyą o tamowanie wolności osobistej i działalności niejakiego Brazzafolli w Mersinie, na południo-zachód od Tarsu nad morzem, już uśmierzony: padyszach dał zadośćuczynienie. Działa austryackie mogą spać.

W Paryżu ze sprawy niewinności Dreyfusa wywiązuje się sprawa winy b. oficera sztabu generalnego, Esterhazego, arcy - podejrzanej osobistości. Prawdopodobnie sąd przedsięweźmie rewizyę procesu skazańca z r. 1894. Dzienniki, na wiarę swej publiczności, wplątują w sprawę cesarza Wilhelma, który jakoby miał prezydentowi ówczesnemu rzeczypospolitej, Casimir-Perierowi, zaręczyć, że Dreyfus jest niewinny, a gdy się winnym w mniemaniu sądu okazał, prezydent w tej chwili usunął się z urzędu.

Na Filipinach powstanie ustało, na Kubie powstańcy palą na nowo plantacye.

Niemcy, dochodząc swych pretensyj do Chin, zajęły Kiau-Czau w prowincyi Szantung, nad zatoką nader dogodną dla żeglugi. „Wojsko“ chińskie odrazu się cofnęło. Inny zatarg, z Haiti, sami Niemcy usiłują załagodzić. Nie żądają już zadośćuczynienia za brutalne przyjęcie rezydenta swego, Schwerina, przez prezydenta rzeczypospolitej. Chcą tylko pieniędzy dla pokrzywdzonego Lüdersa.

Cesarz Wilhelm w Kielu d. 22 b. m. odbierał od rekrutów przysięgę. Skorzystał z obecności marynarzy rosyjskich, aby zaznaczyć swą przyjaźń z Rosyą.

Times ubolewa nad zaniedbaniem armii i nieudolnością zarządu wojskowego. Wolseley tłomaczy się, że system kolonii nie pozwala na wprowadzenie powszechnej służby wojskowej.

Na porzeczu Indu Afganie przetrzepali skórę Anglikom. Wojna ciężka, ale zwycięztwo pewne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYRABIANIE POSAD.

Pisma w ostatnich czasach zaznaczyły kilka znamiennych faktów, wymownie charakteryzujących warunki bytu u nas: Na kolei Terespolskiej jakiś oszust podał się za wysokiego urzędnika, od którego zależne są posady i zaczął przyjmować robotników tudzież oficyalistów za pieniądze. W krótkim czasie zdążył *sprzedać* dużo posad, zanim obejrzano się, że to jest najzuchwalszy rabunek. Niektórzy oddali ostatni swój grosz zaoszczędzony i znaleźli się w zupełnej nędzy. Ofiarą innego oszustwa padł jakiś łatwowierny młodzieniec, który do biura jednej z kolei tutejszych zgłosił się z formalnem wezwaniem urzędowem do objęcia posady od 13 b. m. Zarówno wezwanie, jak i podpisy były fałszywe. Pośrednik, wziąwszy honoraryum za „protekcyę,“ znikł bez śladu.

Te smutne fakty, które naraziły na straty i bolesny zawód kilkudziesięciu, a może i kilkuset ludzi, dają nam powód do rozmyślania nad niedomaganiami i potrzebami naszego ogółu w zakresie warunków istnienia rzesz pracujących, do których zaliczamy zarówno robotników, wyrobników, jak oficyalistów, urzędników, kantorzystów itd. Wyrabianie posad i zajęć w sposób powyższy jest, niestety, zjawiskiem niemal codziennem. Przejrzyjmy tylko ogłoszenia drobne w pierwszym lepszym numerze *Kuryera*, a znajdziemy pod rubryką „posady i prace — poszukiwane“ zawsze kandydatów, którzy ofiarowują od kilkunastu do kilkuset rubli temu, kto, korzystając ze swoich stosunków, potrafi wyrobić takie posady lub zajęcia czy to w biurach, kantorach, czy na kolejach żelaznych. Ogłoszenia te oczywiście dają pole do zarobków oszustom. Czy kto tą drogą istotnie wyrobił kiedy posadę, nie słyszeliśmy nigdy. Ale wiemy, że to jest jedna z form protekcyi, nieodłącznego czynnika istnienia w warunkach dzisiejszych. Słyszeliśmy, że w pewnych przedsiębiorstwach niektórzy pracownicy muszą płacić stałą pensyę tym, od których zależy utrwalenie na posadach; że ci, którzy się uchylają od tego haraczu, mogą utracić zajęcie. Słyszeliśmy wreszcie, że wyrabianiem posad za pieniądze trudnią się nietylko urwipołcie, niemający nic do stracenia, ale nawet ludzie, od których te placówki zależą i że kupiona posada nie zawsze może być pewna, bo gdy przypłynie nadmiar kandydatów, wtedy ci, którzy dostali zajęcie przed rokiem, mogą je utracić na rzecz innych, ofiarowujących wynagrodzenie. Fakty tego rodzaju są znane i nawet kilkakrotnie były publicznie ujawnione za pośrednictwem sądów i prasy.

Obok tego wyzysku istnieje jeszcze inny, niebezpieczniejszy: ofiarowywanie pracy przez różnych przedsiębiorców za złożeniem kaucyi. Na tej drodze, również bezkarnie, wyzysk rozwija się coraz gwałtowniej i szerzej. Spekulanci i aferzyści tworzą przedsiębiorstwa, oparte na kaucyi; czasem nawet nie tworzą ich wcale, lecz uzbierawszy sporą sumę, zmykają

---

29)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Katorżnicy.

Oprawca

Po rozmowie z oprawcą korsakowskim, Miedwiediowem — śmiało można powiedzieć, że się rozmawiało z jedynym w swoim rodzaju okazem na świecie.

Mieliśmy przed sobą niewątpliwie człowieka najbardziej pogardzanego.

Miedwiediew nie jest tak nawet straszny, jak „sławny“ oprawca sachaliński, nauczyciel oprawców — Komlew.

Wzbudza on wprost politowanie, wstręt, jak płaz rozdeptany, żaba, przycięta drzwiami.

Miedwiediew jest oprawcą z tchórzowstwa. W całej powierzchowności odzwierciedla się jego dusza marna.

Oczy załzawione, złe, mały nos czerwony, kości policzkowe wystające. Duże, sterczące uszy, nadają jego twarzy podobieństwo do pyska jakiegoś wielkiego nietoperza.

Miedwiediew jest włościaninem gub Chersońskiej, pracował jako robotnik w okolicach Jekatarynodaru; poszedł na katorgę za zabójstwo gospodarza swego w celu rabunku.

I ten człowiek utrzymuje, że cierpi „niewinnie,“ że „nie potrafiłby“ zamordować! Okłamuje krewnych swojej ofiary, utrzymuje, że oni na niego złożyli zabójstwo, gdyż nie chcieli mu zapłacić pieniędzy zarobionych.

Skazano go na karę stosunkowo „po sachalińsku“ niedługą: na 10 lat; ale on wolał pójść na kata.

— Bałem się. Mówiono, że tutaj robota jest ciężka, biją.

Akurat gdy go skazano, w Jekaterynodarze poddawano kaźni dwu Kaukazczyków, zbójów. Kata nie było. Miedwiediew ofiarował gotowość wyręczenia go.

— Myślałem, że mię pozostawią przy tej czynności!

Spokojnie, z zimną krwią opowiadał mi, jak wieszał; zatrzymywał się nad wszystkimi szczegółami, że mu na termin nie dostarczono tradycyjnej koszuli czerwonej, więc trzeba było „pracować“ w ubraniu aresztanckiem; tylko kitel nowy dano. Opowiadał o przywiezieniu skazanych, o tem, jak długo rozmawiali z mułłą, jak się modlili.

— Czy wypiłeś przynajmniej wódki dla nabrania odwagi?

— Po co? Nie!

— I potem nie?

— A nie było ci przykro, ciężko?

— Nie... Tylko ot, jak się oni zakręcili na stryczku, zrobiło się trochę przykro, ciężko! — I Miedwiediew przy tych słowach wskazuje to miejsce, gdzie jest śledziona. — A potem, gdy ich do trumny kładziono, zrobiło mi się lepiej.

Nadzieje Miedwiediewa nie spełniły się: zesłano go na Sachalin.

— No, a tutaj dlaczego zostałeś katem? Przecież przekonałeś się, że ani robót, ani kar takich niema, o jakich opowiadano?

— No, już tutaj nie można było. Bałem się katorgi. Nie lubią nas. Byłem w strachu, ażeby Kaukazczycy nie poturbowali mię. Więc oto stałem się katem.

— No, a gdybyś tutaj musiał wieszać?

— Gdyby rozkazano, wieszałbym.

— Panie, mam prośbę! — rzekł Miedwiediew, dopędziwszy mię po rozmowie.

— Czego sobie życzysz?

— Czy nie zechciałby pan wstawić się za mną?.. Żeby mię, gdy pójdę na osiedlenie, pozostawiono przy czynności kata! Straszno mi, panie. Katorga wtedy na mnie cały swój gniew wywrze. A kata przecież zawsze się oni boją...

Oto człowiek, który tylko myśli, ażeby pozostał na zawsze katem.

Nad swobodę, nad wszystko przekłada

W ten sposób tysiące już ludzi u nas utraciło resztki swych funduszów. Kaucye w znacznej większości składają ci, którzy nie posiadają żadnej specyalności, a gotowi są do zajęć wszelakich. Spory procent tych poszukiwaczów pracy pochodzi z byłych właścicieli ziemskich. Im właśnie Warszawa i inne większe środowiska nasze zawdzięczać mogą istnienie pewnej gałęzi przedsiębiorstw, opartych nietylko na pracy, lecz i na funduszach pracowników.

Rozważając tę dziedzinę zjawisk ekonomicznych ze stanowiska prawno-społecznego, widzimy, że to jest poprostu rabunek zuchwały, połączony z wyzyskiem pracy. Przedsiębiorcy dostają fundusz i pracę ludzką darmo, a nadto, spekulując tymi środkami, otrzymują nieraz znaczne zyski. W większości wypadków pracownicy nigdy już swoich kaucyj nie oglądają, gdyż albo przedsiębiorca bankrutuje, albo też roztapia powoli te fundusze pod postacią kar za „niesumienne" wykonywanie obowiązków.

Na ten rodzaj wyzysku prawodawstwo zwróciło już uwagę i postanowiło wzmocnić baczność. Czy jednak zdoła ono zapobiedz temu całkowicie? Pierwsza forma wyzysku, tj. sprzedawanie posad, trudniejsza jest do wykrycia i skarcenia. Dotychczas czyny takie wykrywano tylko przypadkowo. Któż jednak sprawdzi i wykryje taką tranzakcyę, w której są obie strony zainteresowane i zapewniają sobie z góry, przez ogłoszenia — „dyskrecyę"?

Ktoby chciał stanowczo zwalczyć tego rodzaju zjawiska życiowe za pomocą wzmocnionych środków prawodawczych, ten dałby tylko dowód powierzchownego wpatrywania się w warunki bytu. Dopóki będzie istniała protekcya, jako niemal jedyny sposób zdobycia istnienia materyalnego, dopóki po za tym czynnikiem nie będą miały żadnego znaczenia ani zdolności, ani uczciwość, ani wykształcenie fachowe, póty w najrozmaitszych postaciach handel posadami nie ustanie.

Można byłoby jeszcze zastosować jeden środek walki z tym systemem, przynajmniej do pewnego stopnia: organizacyę pośrednictwa w wyszukiwaniu i zaofiarowywaniu pracy, na co już niejednokrotnie przy sposobności kładliśmy nacisk. Takiej organizacyi w szerszych granicach dotąd nie mamy wcale. Różne kantory prywatne mają na celu zyski osobiste i wcale nie odpowiadają zadaniu właściwemu. Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych stworzyło pośrednictwo na racyonalniejszych podstawach oparte, ale dotąd boryka się jeszcze z wielu trudnościami *). Przy jednej sekcyi—technicznej Tow. przemysłu i handlu utworzono również coś w rodzaju biura wywiadowczego w celu wyszukiwania pracy dla techników. Ale dotąd jakoś nic o jego działalności nie słyszymy; nie wiemy, czy to była próba tylko, czy też pomoc stała; nie wiemy wreszcie, jakie ona owoce dotąd wydała, jeżeli naprawdę istnieje.

O pośrednictwie takiem powinny pomyśleć wszystkie sekcye i działalność w tej mierze połączyć. Powinny także wziąć to pod uwagę Towarzystwa ogrodnicze i ogrodniczo-pszczelnicze. Organizacya taka może mieć mocne podstawy i powagę tylko wtedy, gdy będzie szerzej traktowaną. Dotychczasowe próby są słabe między innemi z tego względu, że rozdawcy posad traktują pośrednictwo lekceważąco, do czego, mówiąc nawiasem, przyczynia się jeszcze to, że na zapotrzebowanie zdarza się nieraz brak fachowców odpowiednich. Pośrednictwo musi być zorganizowane *społecznie*, musi odrzucić wszelkie cechy przedsiębiorstwa i interesów osobistych, musi być przedewszystkiem bezstronne, a więc powinno udzielać wskazówek zarówno zarobkodawcom, jak i pracownikom. Zwykle pierwsi pytają nietylko o uzdolnienia, lecz i o kwalifikacye moralne. Drudzy zaś — nie mogą o to pytać, jak gdyby zarobkodawcy wszyscy bez wyjątku odznaczali się nieskazitelnością charakterów i byli pozbawieni wszelkich cech przedsiębiorców typowych, wierzących w zasadę, że cel uświęca środki, gdy chodzi o zwiększenie zysków. O potrzebie takiej organizacyi, o której już i sfery sternicze myślą, przy sposobności pomówimy obszerniej. Tymczasem poprzestajemy na powyższych uwagach, które niech będą ziarnem w glebie tak zwanej inicyatywy społecznej.

*) W chwili obecnej Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych z inicyatywy wychowańców Akademii handlowej w Antwerpii zamierzyło rozszerzyć działalność biura informacyjnego przez utworzenie oddziału, któryby pośredniczył pomiędzy firmami przemysłowemi a kandydatami na stanowiska, wymagające wyższych uzdolnień naukowych, specyalnych. Projekt ten ma na celu zapobieganie sprowadzaniu cudzoziemców, do czego uciekają się przedsiębiorcy, nie mogąc podobno znaleźć sił odpowiednich w kraju.

ŻYCIE STUDENCKIE I IDEAŁY.

„Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!"

Najpiękniejsza wiosna życia — to rozkwit ducha, to wzlot marzeń, uderzenia serc młodzieńczych, to ogniwa koleżeńskie, które nietylko są szkołą dla umysłu, lecz i dla charakterów. To kolebka ideałów, porywów szlachetnych. Któż z nas nie wspomina z rozrzewnieniem tych chwil? Któż nie myśli o nich z tęsknotą i żalem, że już nie wrócą? Dla kogóż one nie pozostały na zawsze pamiątką drogą, zdrojem kryształowym, w którym się kąpała dusza ludzka i wzmacniała swoje pierwiastki najszlachetniejsze?!

Tę przeszłość promienną, tem żywszą w wyobraźni, że niedawną, te myśli i westchnienia nasunęły mi liczne fakty z doby ostatniej. Przed kilku miesiącami *pięćdziesiąt tysięcy* matek młodzieży niemieckiej wypowiedziało protest przeciwko życiu niemoralnemu i próżniaczeniu ich synów. To życie poziome i cyniczne, to znieprawienie charakterów i dusz, ta oschłość

---

więzienie, podły obowiązek; drży o to nędzne, nieszczęsne istnienie.

W „Idyocie" u Dostojewskiego książę Myszkin mówi, iż musiał pewnego razu być świadkiem kary śmierci:

„Na widok tej twarzy nieszczęśliwego przyszła mi do głowy myśl, że gdyby temu człowiekowi zaproponować stać całe życie na kwadratowej stopie ziemi, wolałby nawet takie istnienie, niż śmierć."

W katordze mnóstwo jest takich ludzi. Miedwiediew należy do najsmutniejszych. Nawet łapówek nie bierze, z tchórzowstwa.

Zwykło przed wymierzaniem komuś batogów katorga robi składkę „na oprawcę," ażeby karał niezbyt surowo.

Jest to dochód oprawców stały, tradycyjny, uświęcony przez historyę katorgi.

Miedwiediew nawet i tego się zrzeka.

— Strach! — mówi — gdy słabo będę bił, ktoś z władzy zauważy, mogą „z katów" wygnać. Wtedy katorga swoją zemstę wymierzy. Gdy mocno chłostać będę, katorga zawoła: Pocoś pieniądze wziął, a bijesz tak srogo?

W oczach, gdy to mówi, odzwierciedla się taka chciwość: „takby wziął!"

Wlecze więc swoje istnienie mizerne, bez dochodów, głodny.

Mieszka osobno z piekarzami.

Do więzienia boi się zaglądać. Jeżeli zaś wyjdzie z podwórza więziennego, to chodzi tuż przy bramie, starając się być zawsze w pobliżu na oczach konwoju.

Katorga nie boi się go, nie nienawidzi; ona pogardza nim.

— Któż go zechce zabijać! — mówili mi o nim z pogardą katorżnicy — jeszcze odpowiadać za taką nędzę! Czy to warto? Ot, tak zbić gdzie dobrze, to i owszem! Ale on, cham, nigdzie nie chodzi!

Wie o tem wszystkiem Miedwiediew i wywiera całą swą zemstę, wyładowywa całe tchórzostwo, wypisuje całą swą duszę nizką na grzbietach katorżników, gdy na karę zasłużą.

Cele osobne.

Wilgotno, powietrze ciężkie, ale dosyć widno.

Takie ogólne wrażenie robią korsakowskie cele osobne przy odwachu.

Tutaj są trzymani pojedynczo przestępcy, pozostający pod śledztwem i najbardziej winni.

Oto — Awdiejew.

Młodzieniec o twarzy nieprzyjemnej, spojrzeniu odpychającem.

Niezwykle cyniczny.

Przypomina wilka zeszczutego i złośliwego.

Jak gdyby chcąc jeszcze bardziej upodobnić się do niego, ciągle stoi przy okienku we drzwiach i gryzie drzewo. Odgryzł już sporo; jakby ostrzył zęby.

Awdiejew liczy obecnie tylko 19 lat; w piętnastym już był uznany za przestępcę niepoprawnego.

Skazano go na dożywotnią katorgę.

W czternastym roku życia popełnił najcięższą zbrodnię: zabił ojca i matkę w Woroneżu.

— Za cóż ich zabiłeś?

— Za cóż zabijają? Za pieniądze!

Jego krótkie życie, to cała powieść.

Ojciec naturalny był oficerem; matka—wzięta w niewolę Turczynka.

Ojciec spotkał się z nią podczas wojny ostatniej i wraz z urodzonym malcem przybyli do Rosyi.

Ani ojciec, ani matka nie lubili tego nieszczęsnego dziecka.

Sami dość zamożni, zupełnie zaniedbali syna. Zaledwie umiał on czytać.

— Rzecz prosta, gdyby ze mną dobrze się obchodzili, nie zarznąłbym ich!

O zbrodni tej mówi spokojnie, z zimną krwią i cynicznie:

— Pieniądze były piękne. Trzydzieści tysięcy! Uciekłbym zagranicę i tyle. Ale nie Zacząłem pić. Mały byłem, jeszcze głupi!

Na katordze Awdiejew wychodzi z celi, ażeby ledz na kobyle dla otrzymania chłosty i wstaje z niej, ażeby wrócić do celi.

Uparcie wzdraga się pracy.

Próbował uciekać — pojmano go.

Od czasu gdy jest na katordze, otrzymał już 500—600 uderzeń.

serc, nawet zdziczenie społeczne, a następnie po opuszczeniu ławy uniwersyteckiej — karyera i samolubstwo — wypływają ze źródła bardzo zmąconego i zanieczyszczonego: stowarzyszeń studenckich. Nie o tę wszakże młodzież wrogiego narodu nam chodzi, lecz o naszą, która, wiążąc się węzłami korporacyjnymi, czerpie żywcem wzory i tradycye stowarzyszeń studentów niemieckich.

Niedawno otrzymaliśmy skargi listowne i wycinki gazety, nadesłane z Rygi, które zawierają obraz życia słuchaczów politechniki. Studenci powyższego zakładu dzielą się na dwie liczne grupy: stowarzyszonych i „wilderów,“ to jest „dzikich,“ nie należących do korporacyj. Wszystkich stowarzyszeń jest sześć, z tych trzy niemieckie, dwa polskie i jedno rosyjskie (polskie. „Welecya“ i „Arkonia“). Wszyscy członkowie dzielą się na kandydatów (*fuksów*) i barwiarzy (*burszów*). Każde stowarzyszenie (bractwo) ma swoją ustawę, której muszą się poddawać wszyscy członkowie. Celem owych związków braterskich jest: ułatwianie wzajemne nauki, kształcenie charakterów, uczuć przyjaźni i honoru i wreszcie—wesołe spędzanie czasu. Zadania bardzo sympatyczne. Na nieszczęście w praktyce punkt ostatni rozszerza się do granic nadzwyczajnych. Picie piwa po całych wieczorach i nocach, picie piwa podczas załatwiania wszelkich spraw honorowych, picie piwa przy ceremoniach przyjmowania i awansowania członków i to picie w niemożliwie dużych ilościach, zupełnie jak w Niemczech.

Na tle tej podniety wywiązują się nieporozumienia i zatargi, załatwiane pojedynkiem i następnie łagodzone znowu — piwem. Czasem ta nadmierna ilość trunku wywołuje otrucie alkoholem, czyli t. zw. białą gorączkę. Nowi członkowie obowiązkowo muszą się poddać chrztowi piwnemu. Muszą oni z każdym bratem wypić po pół kufla piwa (*Bruderschaft*) i ci właśnie nowi, niedoświadczeni, najczęściej padają ofiarą zwyczaju. Za przewinienie *fuks* karany jest... piwem. Musi wychylić, nie odejmując od ust, olbrzymi kufel, czasem z domieszką wódki, musztardy i jabłek. Karze tej towarzyszą piosnki odpowiednie. To jest zwyczaj ściśle przejęty od Niemców, z tą jednak różnicą, że studenci tamtejsi piją piwo bardzo słabe, nasza zaś młodzież — mocne, i to w ilościach wskazanych przez ustawy stowarzyszeń niemieckich.

Całą również organizacyę oparto na ich wzorze. Tam Vereiny dzielą się na trzy ściśle odgraniczone kasty: *Landsmanschaftów*, *Burschenschaftów* i *Corrzerów*. Wszystkie te kategorye noszą charakter średniowieczny, najgorszego gatunku.

Jaka to jest szkoła życia, mamy wymowne dowody w postępowaniu studentów, oraz wychowańców zakładów niemieckich na polach społecznych i politycznych. Ta szkoła krzyżacka, szkoła samolubstwa, bezwzględności i karyery, trzech głównych zasad, potęgowanych przez Vereiny, okazała się dla nas najokrutniejszą. Studenci niemieccy walczą z naszą młodzieżą, zamykają przed nią laboratorya, utrudniają korzystanie z nauki. Za ich to sprawą podwojono wpisy dla cudzoziemców w politechnikach niemieckich. Ci sami studenci zajmują następnie różne stanowiska polityczne i społeczne, sieją nienawiść rasową i ucisk.

Na tych związkach wzoruje się ściśle młodzież nasza po za granicami Niemiec! Celem korporacyj ryskich, jak nadmieniliśmy wyżej, jest: „ułatwianie wzajemne nauki, kształcenie charakteru, uczuć przyjaźni i honoru.“ Zobaczmy, jak potęgowaniu i rozwojowi tych uczuć i cnót sprzyja regulamin. Nowicyusz, czyli *fuks*, jest istotą najbardziej pomiataną przez „braci“-kolegów *). Nie wiem, czy po za tą formą związku młodzieży światłej, stanowiącej najpiękniejszą odrośl społeczną, istnieje jaka inna organizacya, któraby poddawałaby dobrowolnie ludzi takiemu poniżeniu i służalstwu, względem równych umysłem i stanowiskiem. Fuks przechodzi ciężką, ogniową probę, w której się spala jego godność człowiecza. Skazany on jest na szyderstwa i posługi, nurza swoje uczucia i całą istotę w zajęciach lokajskich, staje się lokajem duszą i czynem. Na zebraniach koleżeńskich, gdy pijany Korbursch syknie przez zęby: — „Fuks, ognia!“ ze wszystkich stron powstają wystraszeni, pokorni młodzieńcy, i spieszą z zapałkami. Każdy z nich musi także mieć na zawołanie korkociąg, musi roznosić jedzenie i piwo gościom, ubierać salę przed posiedzeniem, spełniać rolę posłańca korporacyi. W sobotę oddany na posługi zebrania piwnego, nie może wrócić do domu wcześniej, aż o 4-ej rano, i to za pozwoleniem *oldermanna*, pod którego bezwzględną władzą pozostaje. Znosząc poniewierkę, połykając obelgę wraz z karą — *Verschiessem* wobec natrząsających się kolegów, marzy o tem, kiedy nareszcie sam będzie mógł deptać godność i uczucia innych. „Poczekaj! — woła rozgniewany „fuks“ do innego towarzysza — niech-no tylko przed Bożem Narodzeniem będę wybrany do konwentu; dam ci ja taki *Verschiess*!“

Tak wyglądają ogniwa bratniego łańcucha, któremi potrząsa strach niewolniczy i głęboko ukrywana nienawiść dla towarzyszy, darzących obelgą. Rzeczywistym czynnikiem łączności jest piwo, w którem toną wszelkie ideały i wzloty nad poziomy. „Pijmy, pijmy, aż się popijemy! Niech żyje trunek. Oto szczęście nasze!“ Takim duchem tchną piosnki przy piwie. I dawniej śpiewano przy szklankach. Jeszcze przed laty 70-ciu rozbrzmiewała piosnka:

Hej! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz:
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.
Hejże! do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło:
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Ale wychylając do dna „zwiastunkę słodkich chwil,“ umiano jednocześnie wzbijać się nad poziomy. „Czara złota“ nie była celem. Młodzież, złączona bratnim łańcuchem, istotnie dążyła ku szerzeniu oświecenia i braterstwa, starała się o to, ażeby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny, szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską, niż wszelkie dostojeństwa światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu między członkami zalecano prawdziwie szczerość i pomoc wzajemną. Pomimo „czary,“ „promienie ideałów przenikały ducha każdego, co był zdolny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, jeżeli trafiały na zimne, albo nieczyste serce.“

Śpiewano także i później przy szklance. Gościła i gości we wszystkich uniwersytetach piosnka: „Gaudeamus igitur.“

„Kryształowa czara“ ze srebrną pokrywką — w wyobraźni, a skromna szklanka lub kufel — w rzeczywistości umila zawsze czas młodzieży uniwersyteckiej, ale

*) Szczegóły czerpiemy z *Rižsk. Wiestnika*.

I o tem mówi również spokojnie, z zimną krwią i cynicznie.

— Dlaczegóż wzdragasz się roboty?

— Ot, tak! Nie chcę i nie będę.

— Ale cóż ciebie czeka? Zachłoszczą!

— Zachłostać nie wolno.

— Ale przecież boli.

— Boli — cierpieć trzeba.

— Czyż to lepsze, niż praca?

— Naturalnie, lepsze. Wychłoszczą i przestaną. A robota — od rana do nocy, codziennie.

— No, a w celi czyż przyjemnie siedzieć?

— Nic nie szkodzi! Ludzie siedzą. Powiem otwarcie: pracować nie będę! Położcie, chłoszczcie choć do śmierci—nie będę!

Robi pognębiające wrażenie.

Przypomina mi konia, którego bardzo dużo i zawzięcie bito, aż stanął uparcie i za nic nie zrobi już kroku naprzód, chociażby go bito z całych sił.

W takich razach furmani doświadczeni pozwalają koniowi trochę wytchnąć.

Sądzę, że dobra doza bromu o wiele skuteczniej, niż chłosta, podziałałaby na tego ogromnie nieszczęśliwego, odpychającego młodzieńca, z nerwami rozigranymi.

* * *

Sąsiaduje z nim katorżnik - bywalec, Babajów, Ormianin z gub. Erywańskiej. Sympatyczny wyraz twarzy, na której podczas rozmowy igra uśmiech dobry, pociągający.

Oczy łagodne, wilgotne, głos miękki, przyjemny. Mówi tak miło, sympatycznie.

Ma w sobie żyłkę artystyczną.

Bardzo lubi rysować i zawsze rysuje na jeden temat: generałów na koniach. Tymi obrazami jest zawieszona cała jego cela.

Najlepszym dla niego podarunkiem jest pudełko z farbami.

Gdy otrzyma, w oczach maluje mu się tyle szczęścia...

Specyalnością jego jest zabijać towarzyszów.

W każdej partyi, świeżo przybyłej, upatruje on nowicyuszów z pieniędzmy i kusi ich.

Opisuje okropności katorgi i łatwość ucieczki.

Obiecuje dostać pasport i być wiernym towarzyszem.

Nic też dziwnego, że niedoświadczeni nowicyusze wierzą dobremu, miękkiemu brzmieniu jego głosu, podbijającemu uśmiechowi i takiej twarzy sympatycznej.

W dzikiej tajdze zabija on towarzysza, zabiera pieniądze i wraca do więzienia.

Kupuje sobie przysmaki, farby i maluje obrazy ulubione.

Katorga oskarża go o sześć zabójstw. Urzędowo oskarżony jest o dwa.

Pogoń, wysłana za nim i dwoma towarzyszami, zrazu natknęła się na jednego trupa, potem na drugiego i idąc po tych strasznych śladach, znalazła Babajowa.

Oto człowiek, „skazany na życie.“

Śledztwo wlecze się, zwyczajem sachalińskim, kilka lat; najstraszniejszą chwilą dla Babajowa będzie ta, gdy się ono skończy i gdy go z celi osobnej przeniosą do ogólnej.

O tej chwili boi się on nawet pomyśleć.

Więźniowie zabiją go.

Takie mizerne, ohydne istnienie ten człowiek przekłada nad śmierć!

Wieczna myśl o zemście więźniów rozwinęła w nim manię prześladowczą.

Nigdzie nie wychodzi z celi, wyrzeka się nawet przechadzek.

Boi się wyjść nawet po strażą żołnierzy.

— Rzuci się ktokolwiek i zabije!

I gdy mówi o tem, blednie, drgawki przebiegają mu po twarzy, a w oczach tyle strachu, jak gdyby nad nim już wisiał nóż.

Taki wyraz twarzy prawdopodobnie ma człowiek, gdy leży na ziemi i oczekuje uderzenia śmiertelnego.

Babajew zapewne dostanie obłąkania pod wpływem myśli prześladowczej i to może będzie lepsze dla niego.

Lepsza utrata zmysłów, niż ta świadomość, wieczny niepokój, wieczna trwoga.

(C. d. n.)

nie przygniata jej do ziemi, nie nurza w upokorzeniu, jak kufel lub antałek „braci,“ stowarzyszonych na wzór *Vereinów* niemieckich. Wesele młodości, to kwiat piękny. Nie miałaby ona uroku, woni świeżej, nie miałaby piękna, gdyby swoją radością, swoją pogodą nie opromieniała ogółu, nie kryła w blaskach swobody umysłu ponurych, ciężkich chwil rozterek życiowych społeczeństwa, jego bólów i nędz. Ale sztuczna podnieta alkoholowa, raczej zapomnienie i odrętwienie, jako cel, jako główny czynnik, to nie wesele — to żałoba, to grób ideałów i wszelkich porywów szlachetnych.

Korporacye, oparte na takich podstawach, jak w Niemczech — to rozkład szlachetnych pierwiastków charakteru i uczuć. Dość pohańbienia i poniewierki daje życie. Dość upokorzonych i zbrudzonych dusz, dość zgiętych w pałąk charakterów, dość płazów daje nam istnienie realne, twarde warunki bytu. Doświadczenie nas nauczyło, że nawet ci, którzy się kąpali w zdroju czystych ideałów, którzy umieli wzbijać się nad poziomy w okresie studyów uniwersyteckich, ulegli później miażdżącym młotom życia i bladym strachem podarli swoje purpurowe płaszcze ideałów i cnót obywatelskich, czoła zbrudzili kurzem upokorzenia, bijąc niemi o twardą, brutalną ziemię bytu.

Jakież podpory społeczeństwa wyjdą z tych korporacyj, które przyjmując do swego grona młodzież, od pierwszej chwili hańbią ją i depczą, błotem opryskują najsubtelniejsze uczucia godności, strachem i służalstwem niewolniczem przesycają ich dusze, kastowość zasiewają w ich umysłach, mściwość i nienawiść w sercach? Do jakiegoż znieprawienia dojdą przy zetknięciu się z twardem życiem poszarpane i rozchwiane charaktery tych, którzy dziś już uciekają się do przekupstwa, ażeby prędzej wyjść z poniżającej roli „fuksów“? Młodzież wrażliwsza na poniewierkę, już obecnie sarka w łonie tych korporacyj na ich nieszlachetne zwyczaje i zasady. Niechże ta wrażliwsza cząstka postara się prędzej o reformę stowarzyszeń studenckich, o usunięcie z ustawy tego, co im siłą naśladownictwa narzuciła żyjąca dotąd średniowieczczyzna i krzyżactwo germańskie. Nie bądźmy knechtami dobrowolnie, gdy do tego gwałtem nas zmuszają.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowy talent.

Spór o to, co właściwie stanowi istotę narodu, dlatego trwa ciągle, że jest prowadzony w dziedzinie abstrakcyi. Narody są organizacyami bardzo różnorodnemi: istotą jednego z nich może być religia, drugiego — język, trzeciego — wojna itd., niewiele zaś jest takich, w którychby wszystkie pierwiastki kultury były rozwinięte równomiernie i żaden nie miał nad innymi znacznej przewagi, nadającej główną cechę społeczeństwu. Nie dość tego. Rdzeń narodu zmienia się wraz z warunkami jego życia: w pewnej epoce jest nim np. handel, a w innej — wiara lub przemysł.

Gdyby należało wybrać jakiś element, stanowiący istotę naszego narodu w obecnej dobie, sądzę, że oświadczylibyśmy się za językiem. Religię bowiem mamy rozmaitą, a ta, którą wyznaje większość, nie jest wyłącznie polską; wszystkie inne zaś organy życia społecznego nie są całkowicie swojskie, lecz mniej lub więcej zaprawione obcemi domieszkami. Tylko jeden język jest na wskroś narodowym. Nic też dziwnego, że zarówno on sam, jak jego twory są przedmiotem szczególnej naszej pieczy i miłości, naczelną ideą życia społecznego w bieżącym okresie. Stąd także wypływa wielkie znaczenie, jakie nadajemy literaturze rodzimej, zwłaszcza tym jej gałęziom, w których język dochodzi do najwyższego swego rozwoju. Jeżeli tedy mówimy, że jakaś znakomita powieść lub poemat stanowi doniosły wypadek współczesnych dziejów naszych, to tkwi w tem twierdzeniu bądź świadome, bądź bezwiedne uczucie radości ze zbogacenia się istoty i siły społeczeństwa. Co do mnie, radości takiej doznaję w najwyższym stopniu wtedy, kiedy do literatury wejdzie młody, świeży talent. Po za przyjemnością artystyczną, ulegam takiemu wzruszeniu, jakiemu ulega np. Anglik przy uroczystości spuszczenia na morze nowego pancernika lub Niemiec, oglądający nową wielkokalibrową armatę.

Miałem to zadowolenie kilka razy w życiu, a jedno z silniejszych po przeczytaniu opowieści p. Sirki (Sieroszewskiego) „Na kresach lasów.“ Zapewne nikt z nas nie przypuszczał, ażeby pod lodowatem niebem Syberyi mogły wogóle rozwinąć się piękne kwiaty talentów artystycznych, a tem mniej, ażeby to były kwiaty z naszych sadzonek. Pierwszą niespodziankę sprawił nam Adam Szymański, drugą p. Sirko. Przebywając śród Jakutów (o których podobno napisał cenne dzieło po rosyjsku), namalował on we wspomnianej powieści oryginalny i niezmiernie barwny obraz życia Europejczyka na tle ich bytu. Obecnie dał nam zbiór drobnych nowel p. t.: „W matni,“ wysnutych z tego samego wątku, a tak swoim kolorytem i tragizmem silnych, że niektóre z nich odciskają się w pamięci, wyobraźni i sercu czytelnika głębokiem i niezatartem wspomnieniem. Utwory p. Sirki nieznane wcale za granicą, a zaledwie znane u nas, przekonywają raz jeszcze, jak ciężkie i krótkie skrzydła ma sława pisarzów społeczeństw małych i niegrających roli politycznej. Wiadomo, z jakiem to hałaśliwem bębnieniem, w którem i my przyjmowaliśmy udział, witano każdą powieść Lottiego, przedstawiającego pewne powinowactwo duchowe z naszym autorem. A jednakże opowieści wschodnie Lottiego są mdłemi piankami wobec jędrnych, oślepiająco barwnych i wstrząsających utworów p. Sirki. Ale mniejsza o porównanie; ważniejszem od niego jest to, że wszedł do literatury naszej talent niepospolity i dał jej rzeczy, których ona dotychczas nie posiadała.

Te ogólnikowe pochwały można przylepić do wielu autorów i wielu prac, więc dla nadania im większej wyrazistości otworzę przed czytelnikiem w kilku miejscach samą książkę.

Oto jak p. Sirko obrazuje przyrodę:

„Wiatr ucichł, powłoka chmur pękła i rozsunąwszy się, odsłoniła tu i owdzie kawałki blado-błękitnego nieba. Słońce wyjrzało nagle przez jedno z takich okienek i okolica, przed chwilą tęskna i zapłakana, rozjaśniła się blaskami złota i pogody. Padał na nią odcień wesela półfiglarny, pół-rzewny, i była w tym uśmiechu, w tych szatach jesiennych, zwiędłych, wyżółkłych podobna do opuszczonej kobiety, której przelotny kaprys stygnącego już kochanka znów podarował przelotną chwilę pieszczoty i szczęścia...“

„Kłęby białej pary zapełniły całą prawie kotlinę do samych krawędzi lasu, którego wierzchołki drzew wyglądały z po za jej rąbków czarne, nagie, nieruchome; po nad nimi sunął zwolna księżyc. Zajrzał na chwilę w głąb doliny, roztrącił osłaniającą ją powiewną zasłonę i obnażywszy pierś śpiącego pod nią jeziora, dotknął jej srebrnym pocałunkiem.“

„Łagodny, południowy wietrzyk z trudnością przenikał lasy, okalające dolinę. Jak rój elfów, bez szmeru, przelatywały nad tajgą jego podmuchy, dając znać o sobie lekkiem kołysaniem bardziej wysmukłych wierzchołków; wpadłszy na łąki, na wolne przestworza, skupiały się jak wybuchy swawolnego śmiechu, dęły, szemrały, igrały z korowodem jesiennych liści, trzęsły żółtemi kitami zeschłych traw, marszczyły kryształową powierzchnię na wodę stopniałych śniegów — i wpadały w przeciwległe lasy, gdzie znowu milkły.“

„Słońce skryło się już za dużą, szarą chmurę, która oparłszy się o zamykającą widnokrąg linię gór, wypuściła daleko na niebo swoje kosmate, pokręcone odnóża. Na brzydkich jej strzępach zorza natychmiast rozwiesiła swoje ozdoby: złoto, srebro, tęczowe barwy bogato wyhaftowały jej brzegi, przestrzeliły ją opalowe i ametystowe promienie, a pod nią na bladem niebie, osypanem drobnemi gwiazdami, legło podścielisko z jaskrawej purpury.“

Sądzę, że w tych widokach każdy rozpozna artystę, i to nie artystę, malującego teatralne kulisy dla scen powieściowych, ale poetę. Wszakże zdolność odczuwania i obrazowania natury nie stanowi ani jedynej, ani nawet głównej siły talentu p. Sirki. Daleko ważniejszą jest w nim umiejętność wydobywania prostymi środkami potężnego tragizmu z zetknięcia się dwu różnorodnych i nierównomiernych cywilizacyj w szczególnych warunkach, które bez wrogich wzajemnie dla siebie usposobień wywołują gwałtowne starcia i wysnuwają dramaty. Jakuci są ludem dzikim, ale dobrym i łagodnym: dostają oni pobytowego osiedleńca, który chce żyć z nimi w zgodzie; ale ich wielka nędza, wynikająca przeważnie z surowości klimatu, rodzi chciwość, jego zaś położenie zmusza go do wyzyskiwania biedaków. I oto splata się ponury, czasem krwawy dramat. Jeżeli tym osiedleńcem jest zbrodniarz, dramat ów staje się brutalniejszym, bardziej zwierzęcym, ale nie ma tylu pierwiastków głębokiego bólu, jak wtedy, kiedy złowroga moc konieczności rozjątrza wzajemnie na się ludzi, którzy stają przeciw sobie do zaciętego boju ze wstrętem. Zdawałoby się, że autor, opisujący takie mordercze zapasy instynktów, uczuć, wszystkich czynników nieubłaganej walki o byt, będzie używał ciągle krzyku, jęku, słów rozpaczy, przekleństwa i skargi. Nie, p. Sirko opowiada tak spokojnie, jak gdyby kreślił sielankę, jak gdyby nie widział, że z jego obojętnych wyrazów ciekną łzy, krople krwi i potu pokaleczonych i zmęczonych gladyatorów. Zdaje się, że go zajmuje tylko zewnętrzna strona walki, podczas gdy wewnętrzna, daleko okropniejsza, przesuwa się po za jego uwagą. Jeden z osiedleńców wydziera Jakutom kawałek ziemi, którą chce uprawiać — nie dla przyjemności i rozrywki, ale dla wyżywienia siebie i dziecka. Nie drapieżny egoizm rzuca się tu z kłami i pazurami na gromadę równie drapieżnych egoizmów, lecz altruista, marzyciel, szczery przyjaciel swych przeciwników musi dla uratowania się być względem nich rabusiem i krzywdzicielem. Pozornie wydaje się, że p. Sirko nie dostrzega tego, zwłaszcza że unika analiz psychologicznych — i dopiero jakiś mimochodem rzucony wyraz, jakaś wtrącona uwaga przekonywa, że on doskonale pojmuje i uwydatnia wewnętrzne sprężyny dramatu, tylko dla zachowania w nim przedmiotowości, albo dla stłumienia zbyt mocnego drgania pewnych strun, okrywa wzruszenie współuczestnika udanym spokojem obojętnego świadka. A świat jego nowel jest światem bu-

rzy, w której górą pod niebem pędzą wichry w jedną stronę, a spodem nad ziemią — w przeciwną. Wyobraźcie sobie, że ktoś wam opisuje szereg strasznych scen: mordowania dzieci przez kochającą je matkę, znieprawiania siostry przez szanującego ją brata, grabienia nędzarza przez najwierniejszego przyjaciela i tym podobne fakty, w których jakaś zła moc życia zmusza ludzi, pragnących wzajem swego szczęścia, do popełniania na sobie zbrodni — a będziecie mieli podobieństwo opowieści Sirki. Najpotężniejszy tragizm tkwi nie w czynach człowieka, lecz w jego uczuciach. To, że ktoś kogoś zabił, okradł, shańbił — jest samo przez się ohydnem; ale to, że ktoś kogoś zabił, okradł, shańbił wbrew swej woli, pod naciskiem niezłomnego gwałtu, któremu usiłował się oprzeć, że on nie ma wyjścia z „matni,“ że nawet wtedy, kiedy zwycięża, jest zwyciężonym — to dopiero sięga najwyższych szczytów tragizmu. Niekiedy samo położenie czyni bohaterów z jednostek najzwyklejszych. Wypadek taki zachodzi właśnie w nowelach Sirki. W nich ludzie pospolici, dzięki szczególnemu układowi stosunków, wyrastają na olbrzymów.

Na gruncie świata cywilizowanego biją gęsto źródła twórczości artystycznej, wszakże znaczna ich większość jest zamącona, zanieczyszczona mułem interesów życia. Jakże długo trzeba szukać krynicy, z którejby można napić się czystej, ożywczej wody! Nawet największe talenty kłamią, podrabiają swoje uczucia i myśli, starają się dogodzić panującym upodobaniom lub rachubom, lepią swe kunsztowne dzieła z materyału mody i towarów spekulacyi. Wobec tych bagien obłudy wspaniale wygląda naturalny i silny zdrój, jaki dobywa się z pokładów wielkiego tragizmu, z tej literatury, do której należą utwory Sirki. Gdybyśmy mogli ściśle zbadać naturalne tętna ludzkości, tętna jej czystej krwi i prawdziwego zdrowia, z pewnością okazałoby się, że one uderzają nie tam, gdzie widzimy sztuczne rumieńce, pokrywające zgniliznę i wyczerpaną mizdrzącą się starość, wytworni-siów kultury, ale tam, gdzie jeszcze spoczywa skorupa prostactwa. Bo i czemże są wszystkie mizerne łamigłówki romansopisarzów europejskich, wszystkie „aktualne kwestye“ wiarołomnych i cnotliwych mężów, żon i kochanków wobec tych zagadnień losu ludzkiego, których węzły plączą się w nowelach Sirki! Nędzną maskaradą wobec wielkiej tragedyi.

Nie mnie nie obchodzą duże i małe wady artystyczne w jego obrazkach. Niech kto chce, łapie muchy, pstrzące posąg, ja wolę przypatrywać się jego piękności. P. Sirko jest niewątpliwie talentem wysokiej próby, dał literaturze naszej utwory oryginalne, a ponieważ nasza krytyka ma zwyczaj nie wieńczyć głów niepoprószonych siwizną, więc uważałem za stosowne na tę za młodą jeszcze do tego zaszczytu głowę zwrócić uwagę moich czytelników.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

KŁAMCA URODZONY.

Karykatura nie oddaje rzeczywistości, dostarcza przecież klucza do zrozumienia jej zasadniczych rysów i przymiotów. Artysta, przedstawiając pewną stronę w formie przesadnej, musi uchwycić to, co w danym przedmiocie jest najcharakterystyczniejsze. Psychiatrya spełnia poniekąd tę samą rolę. W szpitalach dla obłąkanych, w domach zdrowia, śród dotkniętych łagodniejszym rozstrojem duchowym, zostały zgromadzone jak gdyby karykatury działalności psychicznej. Te krańcowe ogniwa pasma charakterów, występujące w codziennem życiu narodu rzadko w takiej formie przesadnej, odkrywają jednak skrytki duchowe społeczeństwa i wykazują istotę mechanizmu emocyonalnego, właściwego gromadzie. Przynajmniej dokonają tego w przyszłości, bo doba dzisiejsza nie wyzyskała jeszcze nałożycie materyału, spoczywającego w czasopismach i dziełach psychiatrów. Psychologia korzysta z niego tylko o tyle, o ile chodzi o analizę pewnej strony działalności duchowej, np. woli lub pamięci, lecz antropologia psychiczna, tj. gałęź wiedzy, zajmująca się składem duchowym narodu i rozbiorem charakterów w nim istniejących, dotychczas nie tknęła skarbów, nagromadzonych w pokrewnej sferze studyów—w psychiatryi. I nie dziw. Antropologia psychiczna oczekuje ręki, któraby położyłaby kamień węgielny jej istnienia, kryminologia zaś jest jedyną jej częścią, uwzględnioną przez naukę i uprawianą.

Wyrażenia: „urodzony zbrodniarz,“ „urodzony włóczęga,“ „urodzona nierządnica“ utarły się już w nauce. Do nich możemy dodać obecnie nowy termin: „urodzonego kłamcy.“ Psychiatrya pierwsza zaznaczyła jego istnienie, rozpatrując pewne typy postępowania, tak odchylające się od pospolitej, przeciętnej normy, że poruczono je do zbadania specyalistom chorób umysłowych.

Typ kłamcy w życiu społecznem nie występuje jednak wyraźnie, wyodrębniony od innych i zamknięty tylko w sobie. Tarde w jednej z prac swoich oświadczył, że, równolegle z rozszerzaniem się cywilizacyi, i kłamstwo wzrasta w siłę i rozległość; co więcej, radzi on rozmiary tej wady użyć za skalę do mierzenia postępowego pochodu naszej epoki. Socyolog francuski ma słuszność. Reklama, obłuda i wogóle kłamstwo w formie najrozmaitszej należy do niezbędnych ozdób naszej doby historycznej, tj. stało się jednym z najskuteczniejszych środków walki o stanowisko i utrzymanie. Rozpatrywano z takiego punktu, przestało ono tkwić w charakterze kłamcy, lecz wypływa z natury więzi społecznej. Kłamią ci, którym natura duchowa tak czynić każe; kłamią także i inni, którzy w odmiennych warunkach odznaczaliby się prawdomównością. Stosunki społeczne wikłają rozbiór kwestyi i utrudniają oddzielenie rysów trwałych od przypadkowych, tego, co jest właściwe komuś od urodzenia, od tego, co przylgnęło pod wpływem otoczenia, ale nie znaczy to jeszcze, ażeby udaremniły zupełnie próbę wyróżnienia typu kłamcy urodzonego z pośród innych kłamców. Charakter taki istnieje, stanowiąc, że tak powiemy, jądro śród rzeszy rozleglejszej, nie tak wyraźnej i zośrodkowanej.

Histeryczki pierwsze ściągnęły na siebie uwagę psychiatrów. Stwierdzono, że niektóre z nich odznaczają się niepohamowanym popędem do kłamstwa, przyczem popełniają je, nie uświadamiając sobie tego, że mijają się z prawdą. Kryminologia także spostrzegła współrzędność tej wady z pociągiem do kradzieży. „Wszyscy zbrodniarze — pisze Valentini — kłamią, ale robią to niezdarnie. Tylko złodziejom kłamstwo idzie gładko i zręcznie. Nie zastanawiając się nawet jednej chwili i bez pobudki dostatecznej kłamią, ilekroć otworzą usta. Nawet nie wiedzą oni, że popełniają kłamstwo, do tego stopnia zaś stało się ono w ich jaźni jakby drugą naturą, iż nawet okłamują siebie!“

Nowsze badania, pomiędzy któremi postawimy na pierwszem miejscu książkę dr. Antoniego Delbrücka *) o kłamstwie chorobliwem i o duchowo niezdrowych oszustach, wydaną przed kilku laty, wykazały, że wada ta nie zawsze chodzi w parze z niesympatycznymi przymiotami ducha, choć częściej łączy się z nimi, niż z właściwościami dodatniemi. Typ ów jest rozpowszechniony w życiu bardziej, niż sądzono początkowo, przyczem ujawnia się za pośrednictwem ogniw bardzo różnorodnych: niekiedy służy za podstawę twórczości artystycznej, niekiedy plami się oszustwem lub wyładowywa swoje skłonności jako komiwojażer, lekarz zachwalający cudowność pewnego środka, lub facecyonista, bywa zużytkowywany przez namiętności partyjne jako talent paszkwilarski lub agitator, nieznający skrupułów, występuje w zdarzeniach historycznych jako samozwaniec. Wywody A. Delbrücka nie pozostawiają wątpliwości, że *pseudologia phantastica* idzie często w parze z twórczością i że bogata wyobraźnia niejednego z autorów, gdyby nie znalazła ujścia w tworach pióra, może wyładowałaby się w inny, nie tak dodatni sposób. Na poparcie tezy swojej przytacza on młode lata Goethego. Ten wielki poeta opowiada, że w dzieciństwie zmyślał różne przygody, które następnie opowiadał towarzyszom, jako zdarzenia prawdziwe. Warto zaznaczyć co do tego zdanie samego Goethego: „Gdybym — pisze on — nie zdobył zwolna umiejętności zużytkowywania tych zmyślonych postaci i fantastycznych przygód do celów artystycznych, to takie początki nie pozostałyby dla mnie bez skutków jak najgorszych.“

Kłamca urodzony nie jest pospolitym kłamcą, który zmyślając zdarzenia, zawsze wie, gdzie kończy się prawda a zaczyna oszustwo. Przeciwnie, rzeczywistość w jego umyśle tak splata się z kłamstwem, jedno tak zasłania drugą, że przy najlepszych chęciach nie zdołałby on wskazać, co w opowiadaniu zdarzyło się rzeczywiście, co zaś przezeń zostało dodane. Źródłem jego charakteru jest niekiełznana, chorobliwa wyobraźnia, zajmująca się jego własną osobą, marzycielstwo stanowi tam rys zasadniczy, który, niekontrolowany przez rozsądek, prowadzi osoby tego rodzaju na manowce i każe im wierzyć w najbardziej zmyślone przygody. Daudet wybornie uchwycił ten typ i wcielił go w Tartarinie z Taraskonu. Tartarin nigdy nie opuszczał murów miasteczka rodzinnego. Obdarzony żywą a niezdrową fantazyą, żyje on tylko w świecie podróży, przygód myśliwskich i wojennych — wyczytanych w książkach. Otrzymuje posadę u pewnej firmy w Szanghaju, właśnie w chwili, w której oczekiwano napadu Tatarów. Z takiem przejęciem oddaje on sceny życia tamtejszego, tak żywo przedstawia położenie rodaków na dalekiej obczyźnie, iż uwierzył wreszcie sam, że był osobiście w mieście chińskiem. „Dzielny człeczyna zapalał się przy opowiadaniu i po upływie pewnego czasu był pewny, iż znajdował się w Szanghaju. Przedstawiając po raz setny napad Tatarów, głosem najnaturalniejszym twierdził: uzbrajam subjektów, wywieszam chorągiew i paf! paf! strzelam z okien do Tatarów. Daudet dodaje: „A więc twój Tartarin jest kłamcą skończonym!“—„Nie, po tysiąc razy nie! Tartarin nie był kłamcą!“ — „Przecież musiał on uświadamiać sobie, iż nigdy nie był w Szanghaju!“ — „Niewątpliwie. Tylko... tylko... południowiec nie kłamie, on się unosi. Nie zawsze mówi prawdę, chociaż wierzy, iż zawsze to robi! Jego kłamstwo nie jest kłamstwem, tylko zawrotem głowy.“ Kłamca urodzony, przynajmniej niektóre okazy jego, żyją nie w rzeczywistym świecie, ale w otoczeniu, stworzonem przez wyo-

*) *Die pathologische Lüge und die psychisch abnormen Schwindler*. Stuttgart.

braźnię. Delbrück dla przedstawienia ich stosunku do rzeczywistości ucieka się do przykładów, zaczerpniętych z doświadczeń nad zahypnotyzowanymi. Kobiecie, bardzo wrażliwej na poddawanie, dano do ręki nóż, później zaś wmówiono w nią, że nic nie trzyma. Uwierzyła. Zażądano wtedy od niej, ażeby wyprostowała wszystkie dziesięć palców. Spełniła to żądanie, starając się jednocześnie, za pomocą wielkiego palca, utrzymać nóż, ażeby nie upadł. Oszukiwała, ale jej postępowanie było tak szczere, że niepodobna było powątpiewać o bezwiedności.

Przyjrzyjmy się typowi z bliska.

Niejaki G. N., syn ubogiego, stumorgowego obywatela w Pomeranii. W rodzinie było kilka przypadków zboczeń umysłowych, lecz on sam rozwija się normalnie. W uniwersytecie studyuje teologię, później filozofię, zajmuje się polityką i bierze żywy udział w zgromadzeniach, pisuje zręczne fejletony, odznacza się wymową. Wróżono mu świetną przyszłość, ale skończył na szpitalu dla umysłowo chorych. Kłamstwo bezczelne i dziecinne opętało go podczas pobytu na wszechnicach. W Zurychu zaciąga długi, opowiada o olbrzymim majątku rodziców, o tem, że ojciec jego jest członkiem sejmu i zajmuje jedno z najbardziej wpływowych stanowisk w prowincyi. Zaręczywszy się z ubogą dziewczyną, oszukuje obie strony, nawet nie pomyślawszy, że prawda prędzej lub później musi wyjść na jaw. Narzeczonej podarował fotografię nieistniejącego zamku rodziców, opisuje jej pokoje, nawet przyszłą wspólną sypialnię. Swoim rodzicom opowiada o zamożności przyszłych teściów, o tem, że dostanie w posagu willę oraz cztery tysiące marek dochodu rocznego. Zaciąga długi i rzuca wprost pieniędzmi: w ciągu krótkiego czasu same cygara kosztowały go dwieście marek, na pokrycie ścian tapetami w wynajętej willi wydaje tysiąc marek, choć nie posiada żadnych dochodów. Powyższą rozrzutność można jeszcze jakoś wytłomaczyć, ale inne postępki są wprost niezrozumiałe: wchodzi np. w stosunki z bankierami w kilku miastach i radzi się ich, jak ulokować kapitały, układa się z towarzystwem ubezpieczeń na życie o kupno bardzo wysokiej renty dożywotnej. Naturalnie prawda wychodzi na jaw po ślubie. Wykrywają się wtedy tak potworne i bezużyteczne kłamstwa, iż rodzina oddaje G. N. pod dozór lekarski, jako nieodpowiedzialnego za popełnione czyny. W domu zdrowia, badany przez doktora, powiada szczerze, że wprost sam nie umie wyjaśnić, jak to wszystko zajść mogło. „Podczas dni pogodnych — mówi on — czułem się bardzo podniecony, wpływowy i możny, przedstawiałem sobie szczęście z ukochaną żoną w barwach najróżowszych, wyobrażałem sobie, że jestem właścicielem willi w Giessen i dlatego wynająłem tam dom i umeblowałem go; zadowolony z tego, zawczasu używałem chwil błogich. Później zacząłem wierzyć, że zostałem docentem w uniwersytecie. Wyobraźnia unosiła mnie coraz dalej, zacząłem uważać siebie za bardzo zdolnego, a wierząc w urojone bogactwo, wszedłem w stosunki z bankierami i zbierałem informacye co do ulokowania kapitałów. A jeśli nadchodziły chwile, w których czułem ubóstwo swoje, to jednocześnie miałem nieprzepartą pewność, że niebawem muszę zostać bardzo bogatym, otrzymując kapitały, które winny dostać się do rąk moich. Ze szczebla na szczebel, zapuszczałem się w marzeniach swoich coraz dalej. Doszło do tego, że uchodziłem w własnem mniemaniu za członka ministeryum oświaty. Podczas przechadzek przedstawiałem sobie to przyszłe położenie i głośno wypowiadałem radość swoją z tego powodu. Zwłaszcza dużo marzyłem w nocy: zdawało mi się jednego razu, że leżę na piersiach ces. Fryderyka, kiedyindziej, iż siedzę przy stole pomiędzy ces. Wilhelmem II-im i ks. Bismarckiem." Kłamstwa i oszustwa, popełniane przez G. N., były jedynie czynami, dyktowanymi mu przez wyobraźnię. Marzył on tylko o willach, zamkach, bogactwach, i rojenia te zasłoniły mu zupełnie rzeczywistość, w którą wplątał więc obrazy nieistniejące. „Wszak pan wiedziałeś, że nie posiadasz żadnych funduszów?" — mówi lekarz do niego. — „Tak, wiedziałem o tem, ale z drugiej strony właściwie nie uświadamiałem sobie tej prawdy!" Wyobraźnia zresztą doprowadza go do oszustw: pożycza pieniądze, zarywa ludzi, łudząc ich bogactwem rodziców.

G. N. dostał się do domu zdrowia, inny trafi przed kratki sądowe, jeszcze inny spokojnie będzie pędził dni życia swego, bo postępowaniem nie wykroczył po za pewne szranki. „Z łatwością — pisze A. Delbrück — moglibyśmy wyszukać typy pokrewne w sferze zdrowych stosunków. W życiu codziennem spotykamy bardzo często natury, które pod względem prawnym mogą i muszą uchodzić za posiadające wolę i świadomość, które jednak nie są normalne. Popęd do kłamstwa ujawnia się w formie nieszkodliwych facecyj, to znowu zużytkowywany bywa przez obrany zawód. Tacy ludzie mogą wyzyskać swoje skłonności, choć nie ku dobremu. Fanatyczny agitator partyi politycznej, lekarz dużo opowiadający o dokonanych uzdrowieniach, uczony, zadziwiający świat roztrębywanemi choć małej wartości odkryciami, mogą oszukać znaczną liczbę osób i to dlatego, że przedewszystkiem okłamują samych siebie. Trzeźwe umysły wprawdzie spostrzegą kłamliwość takich charakterów, lecz sądzić ich będą niewłaściwie, widzieć w nich tylko obłudę i matactwo, albo na chłodno postanowione oszustwo."

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

Wł. Reymont: *Spotkanie.* Szkice i obrazki.

Ile razy staję wobec nowego wytworu umysłowości ludzkiej, zawsze staram się wyobrazić sobie te koleje, które przejść on może w mózgach szerokich mas. Posługuję się wtenczas pewną bardzo niezłożoną klasyfikacyą, która mi ułatwia oryentowanie się w dziedzinie tak złożonego myślowego procesu i która mi dzieli owe masy na dwie kategorye. Pierwsza względem danego wytworu znajduje się w takim stosunku, w jakim normalnie rozwinięte głodne ciało wobec pokarmu; nie posiada ono dziesiątków najrozmaitszych zróżniczkowanych pragnień, ale posiada jedną wielką, rozwiniętą, silną, krzyczącą potrzebę zaspokojenia głodu. Takie ciało żywi się w sposób podobny amebie: owija się całą swoją siłą myślową wkoło pokarmu i pracuje dopóty, dopóki go nie przerobi na soki pożywne; jeżeli zaś pokarm zawiera składniki, niemożebne do przetworzenia na soki, wtenczas odruchowo odwija się od niego i nie truje się zgubnymi wytworami wymiany materyi. Kategorya druga — to organizmy także głodne, ale chore: wskutek zmian chorobliwych w ustroju nie są one w stanie przyjmować zwykłego pożywienia *in crudo.* Są ludzie, którzy bez wstrzyknięcia morfiny, bez dawki opium, bez dodatku asafetydy nie mogą przyjmować jadła; a i w taki sposób spożyte nie wychodzi im ono na zdrowie. Takich osobników w życiu fizyologicznem jest pocieszająca mniejszość, w życiu umysłowem natomiast zatrważająca przewaga. Niżej postaram się wyjaśnić, dlaczego według mnie kategorya pierwsza nie powinna odrzucić książki p. Reymonta; tymczasem przyjrzyjmy się, z jaką przyprawą będą ją spożywać chorzy.

Idzie tu mianowicie o to, że ponieważ p. Reymont w większości swoich obrazków rysuje sceny życia brudne i wstrętne, taki patologiczny czytelnik może bardzo łatwo poczuć ku nim *chwilową* odrazę, dzięki czemu sam na mocy kontrastu urośnie we własnych oczach na rzecznika moralności, oraz krzewiciela cnoty, a p. Reymontowi niechybnie dostanie się tytuł spotwarzającego najświętsze uczucia i najwznioślejsze ideje materyalisty, oraz cynika: podlany asafetydą tak głębokiego przekonania p. R. zacznie być spożywany. Nie idzie mi tutaj zupełnie o podważanie czyichkolwiek moralnych i estetycznych przekonań, chciałbym tylko zwrócić uwagę, jaki chaos myśli, jaką maskaradę pojęć może wywołać taka pozornie najzupełniej niewinna zabawka, jaką jest nadużywanie w życiu codziennem terminów naukowych. Ponieważ dotychczas nie braliśmy udziału w akcie narodzin żadnej szkoły filozoficznej, przeto postaraliśmy się te filozoficzne terminy, które nas doszły zdaleka, jako echo głośnej pracy umysłowej, wydąć, niby gumowe pęcherze, do odpowiedniej wielkości i zapełnić je, zamiast zbytecznym balastem naukowych nieużytków, praktycznymi, żywotnymi odpowiednikami naszych codziennych funkcyj. Dzięki temu doszliśmy do ciekawych rezultatów: kto je, pije i śpi za czterech, ten u nas nazywa się materyalistą, a puste głowy, dla których wszelka rozsądna i uczciwa *praca* jest mytem i urojeniem, zapisaliśmy tryumfalnie pod sztandar idealizmu. Chwalić Boga i my mamy materyalistów i idealistów, bez studyów nad filozofią! U nas np. cynikiem nazywa się z jednej strony człowiek szczery, prosty, otwarty, rozdzierający wszelkie frazeologiczne osłonki i bezlitośnie chłoszczący wszystkie małe i duże pięknie postrojone podłości, z drugiej strony skretyniały donżuan, polujący na cudze żony. Kto mówi ostro prawdę, ten jest u nas cynikiem, kto gnębi i tyranizuje słabych i bezbronnych, ten jest także cynikiem. I to samo brudne, wytarte i cuchnące słowo przylepiamy nietylko do pasorzytów społeczeństwa, ale i do tych rozumnych i czystych myślicieli, którzy spokojnie i głęboko analizują z fizyologicznego punktu widzenia i uczucia pierwszej miłości dziewiczej, i stany poetycznego natchnienia, i porywy wzniosłego bohaterstwa. Zgoda, jeżeli idzie o nazwę, to możemy i p. Reymonta mianować cynikiem, tylko że w takim cynizmie nie widzę nic zdrożnego. Literatura nie jest starą dewotką wyschłą, wysuszoną, zapiętą pod szyję, odmawiającą na pamięć różańce sentymentalnych prawd i spróchniałych formułek estetycznych, ale zawsze młodą, zdrową kobietą, niemającą potrzeby wstydzić się swojej krwi, swojego ciała, swojego naturalnego rumieńca. Ma ona jeden tylko cel przed sobą: pełnię życia, a jeżeli prowadzi za sobą czytelników swoich do błota, to nie po to, żeby ich obryzgać, ale żeby im pokazać, jak tam głęboko i rozpacznie zagrzęźli ci nieszczęśliwi winowajcy, których całą zbrodnią była nędza, albo słaba wola. Znam tylko jeden rodzaj niemoralności w literaturze, tak jak znam jeden tylko rodzaj nieuczciwości w życiu: mianowicie fałsz, czyli sprzeczność pomiędzy przekonaniem wewnętrznem a jego zewnętrznem ucieleśnieniem.

P. Reymont językiem tej literatury przemawia nie po raz pierwszy: wydał już przedtem dwie większych rozmiarów powieści, oraz opis wrażeń z „Pielgrzymki na Jasną Górę.“ Otóż, o ile to studyum zawiera w sobie dużo cennego materyału z dziedziny psychologii zbiorowej, o tyle znowu niedawno wydany tom „Szkiców i obrazków,“ chronologicznie o wiele poprzedzający dwie powieści, nastręcza wiele spostrzeżeń z dziedziny psychologii twórczości artystycznej. Wyobraźmy sobie malarza, który komponuje szkice do większego obrazu. Porównanie to o tyle jest niedokładne, że żaden malarz nie włoży w szkic tyle duszy, myśli i talentu, ile p. Reymont włożył w swoje obrazki; dla pierwszego szkic zawsze pozostaje tylko szkicem, nieodłącznem *malum necessarium* w stosunku do wymarzonej całości, tymczasem dla p. Reymonta te drobne obrazki w chwili tworzenia były prawdopodobnie całokształtem marzeń, zogniskowaniem uczuć i syntezą sił umysłowych. Nie myślał on pewnie wtenczas, że „Franek“ z czasem urośnie do rozmiarów „Komedyantki,“ że o „wrażeniu włoskie“ potrąci raz jeszcze silniej i żywiej w podróży poślubnej młodych Grzesikiewiczów, że ten mizerny urzędniczyna ze „Szczęśliwych“ da początek całej galeryi typów ze świata kolejowego, że wynikiem małżeńskiego skojarzenia szlachty z chłopstwem nie będą w przyszłości ludzie „Szczęśliwi“ (Janka i Grzesikiewicz), że ze stosunku płciowego pomiędzy mężczyzną a kobietą wylęgnie się z czasem w jego powieściach niejeden, ale cały legion potwornych, zimnych i odstraszających „Cieni,“ że ta krnąbrna szlachecka córeczka z „Suki,“ harcująca na oklep po polu z chłopskim parobczakiem, rozwinie się kiedyś w bujną, pełną, pulsającą, rwącą się do życia i swobody naturę Janki („Komedyantka“), a jej histeryczna matka w świetną figurę starego Orłowskiego. Malarz, tworząc szkic, nie dba o formę, bo idzie mu tylko o utrwalenie pewnej myśli, tymczasem obrazki p. Reymonta, cokolwiekby się dało o nich powiedzieć, są pyszne właśnie w obrobieniu, stylu i kolorycie. Jest tutaj raczej podobieństwo do początkującego badacza naukowego, który pracuje z zapałem i sumiennością, ale bez metody, który żywi nadzieję, że zagarnie odrazu całą garść nowych odkryć, który przerzuca się z jednego pola na drugie, podorywa jeden zagon za drugim bez widomych i określonych owoców — ale w tych niemetodycznych dociekaniach, dorywczych rzutach, poślizgnięciach nawet i błędach widać takie przebłyski siły *twórczej*, że chwilowo intuicya sprawia wrażenie obserwacyi, szkice — obrazów, przypuszczenia — pewników, luźne uwagi — programu, zapał — prawdy.

Takich prac nie mierzy się króciutkim łokciem rynkowej estetyki, ani nie zamyka się w ciasnych ramkach produkcyi beletrystycznej: wskazują one jasno, że pomiędzy sztuką z jednej, a nauką z drugiej strony trudno byłoby nakreślić jakąś wyraźną linię graniczną. Głupiec zawsze pozostanie głupcem, czy będzie układał dramaty, czy też bawił się w dociekania przyrodnicze. Możnaby ułożyć całe biblioteki z książek, które na okładkach mają wypisane: *dzieło naukowe*, a w których nauka na najprostsze zapytania swoje znajdzie akurat taką samą odpowiedź, jak ów dziad w Krakowie po słynnem przemówieniu do obrazu. Nie ma klasyfikacyi umysłów na naukowe i artystyczne, są tylko umysły jałowe i twórcze. A czy taki umysł twórczy położy zasługi na polu nauki, czy sztuki, to jest rzecz czysto-przypadkowa, w gruncie najzupełniej obojętna, zawsze jego żywą myśl przenika gorący strumień uczucia, zawsze oddycha on jednem życiem z naturą i ludzkością, zawsze bezwzględny egoizm jest mu jednoznaczny z wszechogarniającą miłością. Dzisiaj pobudowano przy wielu uniwersytetach zagranicznych pracownie do badań naukowych nad psychologią, ale nie wiem, czy sto laboratoryów da w przeciągu dziesiątków lat tejże psychologii tyle faktycznego materyału i gruntu, co kilka rozdziałów z Dostojewskiego: ta nieśmiertelna analiza duszy ludzkiej, ważącej się na przełomowy w życiu czyn. I Maeterlincka przecież nikt nie nazwie pracownikiem naukowym: dzisiaj porywa on właśnie tem, co jest albo nic nie warte, albo zupełnie drugorzędne w jego twórczości: tj. dziwacznością formy i tym nieuchwytnym urokiem, który wieje z jego wierszy, a który się określa wyrazem „nastrój.“ Ale przecież w tej pachnącej, gęstej mgle kąpią się całe obszary nowych lądów, po których kiedyś będziemy stąpać pewnie i swobodnie.

Wspomniałem o Maeterlincku dlatego, że pod pewnym względem zbliża się do niego p. Reymont. Obaj oni wydobywają na światło dzienne cały świat zjawisk psychicznych, które się zawsze odezwało, a których nikt dotychczas nie sformułował, tysiące szczegółów „niepostrzeżonych świadomie,“ tysiące niedostrzegalnych prawie „cieni,“ kładących się na ekran myślenia, pasma nieuchwytnych włókien szału i udręczenia, „przemykających się przez duszę,“ całe akty stanów istnienia „nie przedzierających się głębiej do świadomości, tylko obijających się o mózg i wracających do źródła,“ legiony istot wewnętrznych, niewidocznie i niedosłyszalnie „podsycających jaźń.“ Tylko sposób badania poety belgijskiego jest tak doskonały i subtelny, że chyba do mikroskopowego da się porównać, jego umiejętność używania przyćmionego światła przy pracy doprowadza do cudownych wyników: składniki otrzymuje on tak drobne, tak niepochwytne dla niewprawnego oka, że na długo pozostaną one przywilejem tylko wybranych, *skarbem cichych* (le trésor des humbles), jak się sam ślicznie wyraził. P. Reymont bada prościej, bez udoskonalonych środków, to też wyniki są bardziej skłębione i pogmatwane, niedokładne, ale przez to może właśnie dla nas żywotniejsze, krwistsze, do potrzeb bardziej przystosowane. Kto rozpoczyna zawód literacki choćby takiem jednem studyum, jakiem jest „Cień,“ z tym się trzeba poważniej liczyć, niż z całą armią naszych autorów jedno i wielotomowych historycznych i niehistorycznych powieścideł.

Można tu zaznaczyć jeszcze jeden łącznik, spajający takie utwory z twórczością naukową. Jak badacz-odkrywca przy pracy zupełnie nie myśli o zastosowaniu jej do praktyki, tak powieściopisarz-twórca daleki jest od roli układacza podręcznika popularnego etyki codziennej. To nie znaczy zupełnie, żeby zdobycze nauki z jednej, a dzieła sztuki z drugiej strony nie odciskały się znacząco na życiu: powieści Dickensa bez jednego słowa morału wychowały rozumne społeczeństwo angielskie, a każdy chyba wie dobrze, jaki przewrot w życiu społecznem wywołały wynalazki. Przyjrzyjmy się trochę bliżej obrazkom p. Reymonta. W „Spotkaniu“ trafiamy na pogrzeb kobiety, która oszukiwała męża z kochankiem i w końcu zażyła truciznę, nie mogąc znieść dwuznacznej sytuacyi. Zjawia się na pogrzeb i ów „przyjaciel domu,“ który w danym wypadku jest zarazem „przyjacielem męża, wynurzającego mu się z całym tragizmem naiwności ze swoją rozpaczą po stracie żony. Po pogrzebie niezutulony w żalu mąż zaprasza „przyjaciela“ do siebie do domu, gdzie następuje gwałtowny wybuch „natury“ u owego „przyjaciela“ wskutek zetknięcia się ze *swojem* dzieckiem i zburzenie w taki sposób pięknego gmachu błogiej nieświadomości fikcyjnego ojca. Bardzo ładny i miły obrazek! W „Cieniu“ na tle chorobliwej pulsacyi wiosennego dnia mamy zwykły dramat moralnego wabienia się pospolitego samca i pospolitej samicy. W „Suce“ histeryczna szlachcianka katuje własną córkę, oraz chłopskie dzieci. W „Śmierci“ potworne stadło chłopskie wyrzuca konającego ojca z izby do zamarzniętego chlewa za to, że uciułaną sumkę oddał nie im, ale szwagrom. W „Tomku Baranie“ chłopi zapijają się aż do zbydlęcenia, we „Franku“ i „Oko w oko“ opisane są nocne orgie rozbestwionych aktorek prowincyonalnych w towarzystwie półkretynów i zdechlaków z „towarzystwa“ itd. itd.

Wątpię, czy komu zdrowo myślącemu przyszłoby do głowy nazwać te ponętne obrazki dodatnią stroną życia, ale jeszcze bardziej wątpię, czy p. Reymont, zapytany o zdanie, albo spotkawszy się ze swoimi *bohaterami* w życiu rzeczywistem, poradziłby chłopom nie mścić się i nie pić wódki, histerycznym matkom nie katować dzieci, kochankom nie cudzołożyć, aktorkom nie szaleć po nocach. Minęły już te arkadyjskie czasy literatury, kiedy każda strona powieści stanowiła następujący obrazek: leży sobie piękna, anielska, smutna i biała osoba, a na karku jej siedzi umazana cała na czarno węglem demoniczna postać. Pod pierwszą podpisano: „poturbowana niewinność,“ pod drugą: „tryumfująca siła.“ Na ostatniej jednak stronicy obraz się zmienia: czarna i niegodna siła kładzie się na ziemię, a biała i godna niewinność siada jej na kark. Dzisiaj nie bawimy się w taką zawiłą symbolikę. Życie ludzkie nie może stać się przedmiotem ani miłości, ani nienawiści: można je tylko studyować, badać, analizować. W takiej historyi życia ludzkiego nie ma miejsca ani na pochwały, ani na nagany, dlatego że chwalić człowieka, albo ganić go jest to samo, co chwalić śnieg za biały kolor, albo polemizować z pianiem koguta.

Kiedy się zdaje sprawę z szeregu utworów pana Kosiakiewicza, albo pani Zapolskiej, wtenczas wyszczególnia się pojedyncze ich tytuły, opowiada się ich treść, dodaje się, że nr. 2, przypuśćmy, jest „interesujący,“ a nr. 5 „mniej interesujący,“ opowiada się dużo o właściwościach stylu itd., ale robi się to wszystko dlatego, że inaczej nic byłoby poprostu nie do powiedzenia z powodu takich rzeczy. Talent p. Reymonta jest zbyt żywotny, żeby do niego stosować podobną metodę. Dlatego też ograniczę się co do formy na poprzedniej krótkiej wzmiance, dodając tylko, że tego uczucia kolorów i plastyki, które ujawnił w obrazach natury, nie mówiąc już o jej pojęciu, mógłby mu niejeden malarz pozazdrościć.

* *

Władysław Sterling.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Brieux: *Ucieczka*, komedya w 3-ch aktach.

Autor „Ucieczki,“ stawiwszy sobie tezę, jedzie ku niej niby cyklista w cyklodromie na okółko, a publiczność, patrząc na ów bieg cyklodromowy, powiada sobie po każdej scenie z ziewaniem: jeszcze musi sześć razy objechać... jeszcze pięć.. jeszcze cztery... Dojedzie?.. Eh, dojedzie, tacy mają dobre nogi. Sformułujmy „tezę“ autora. Wszyscy lekarze okłamują pacyentów, nawet owczarze; lecz owczarze nie trują lekarstwami chorych i niekiedy ich uzdrawiają, lekarze zaś — i tu autor pod-

stawia zamiast wyrazu „lekarz" wyraz „uczony" — nietylko, że trują chorych środkami, ale unieszczęśliwiają ich różnemi teoryami fatalistycznemi, odbierając im odwagę do życia. Teza wymaga przykładu, a przykładu dobrał sobie autor bardzo misternie. Powiadają ludziom o nieubłaganych prawach dziedziczności, przechodzących z pokoleń na pokolenia; za grzechy ojców muszą pokutować dzieci i basta; jest to „tyrania zmarłych," jest to więzienie, do którego zamyka rodzic swego potomka. Czy można ujść z tego więzienia? Czy jest możliwą „ucieczka?" Jest! — powiada autor — dowiodę tego w artykule scenicznym. Syn melancholika-samobójcy i córka słynnej kokoty mają zamiar pobrać się. Ale cóż! Ja sobie strzelę w łeb, a ty się po pewnym czasie „puścisz." Nie strzelę sobie w łeb — powiada z rozpaczą młody melancholik. — Nie puszczę się — odpowiada mu z łkaniem córa kokoty. Lecz staje przed nimi posępne fatum w postaci świata „uczonego," które grzmi ku nim: Nie ujdziecie! Ty musisz palnąć sobie w łeb, ty zaś puścić się! Ano spróbujmy. Spróbowali. Autor wysyła nieszczęśliwą parę do małżeńskiego laboratoryum i w akcie drugim pokazuje, że melancholik bardzo zyskał na humorze, a córa kokoty jest „całkiem na miejscu," odrobinkę tylko tęskni za Paryżem. A ponieważ mąż nie godzi się na wyjazd do tego Paryża, przeto Paryż przyjeżdża do nich. Przyjechał — jak się to technicznie mówi — dla perypetyi dramatycznej. Przyjechał on w postaci niepoczciwych i wiarołomnych żon, pouczających cnotliwą córę kokoty różnych brzydkich rzeczy; przyjechał on w postaci zamężnego cyklisty, który usiłuje nienadaremno uwieść cnót łaknącą córę kokoty. Mąż-melancholik zobaczył coś „niestosownego," wpada w recydywę smutku, miota obelgę w twarz żony, a „świat uczonych" w judaszowski sposób zaciera ręce, gdyż „prawa natury" zwyciężyły. Więc mam się „puścić" — biada nieszczęśliwa żona i bierze się do studyów przygotowawczych. Dramatyczne chmury zbierają się nad głowami syna samobójcy i córy kokoty. Zbliża się fatalna chwila przewidywanej przez „naukę" zdrady. Ponieważ jednak autor założył sobie, iż „świat naukowy" ma nie mieć racyi, przeto wypada z kolei rzeczy, abyśmy go teraz bliżej poznali. Zaznaczamy, iż ów świat uczony ma być kwiatem eskulapów paryskich. Nie przypuszczamy, aby tak było istotnie. Lekarze p. Brieux są to bezkrwiste postacie pospolitych karyerowiczów, orderowiczów, nad wyraz lichych deklamatorów o źle spopularyzowanych zagadnieniach przyrodniczych, stosujących te zagadnienia do zagadnień bieżącego życia z syntetycznością kucharki. Ludzie ci oczekują tragedyi rodzinnej w usposobieniu mniej więcej reportera, którego wysłano z zakopconem szkiełkiem na oglądanie zapowiedzianego zaćmienia słońca. Paweł de Maucour, czarny charakter francuskiego świata matrymonialnego, proponuje romans Lucynie Belmont. Lucyna chwieje się. Nie czuje ona wstrętu do samej istoty przestępstwa, lecz do stosunków, do jakich to przestępstwo prowadzi. Wspaniała etyka p. Brieux! Lucyna bada Pawła, poznaje się na zastawionych sieciach, odtrąca uwodziciela, a gdy ten chwyta ją brutalnie w uścisk, wzywa na pomoc męża. Mąż godzi się z żoną, oboje uciekli z więzienia dziedziczności, kurtyna mogłaby zapaść, ale chodzi jeszcze o to, aby ów „świat uczony" ze wstydem odwołał swoje „teoryę." Świat uczony „odwołuje" swoje teorye, syn melancholika-samobójcy rzuca się w objęcia córy kokoty i kurtyna zapada.

Francuzi znają w swoich komedyach ostatniego typu tylko trzy rodzaje zagadnień w państwie miłości, a mianowicie: 1) albo Numa wychodzi za Pompiliusza, 2) albo Numa nie wychodzi za Pompiliusza, 3) albo wreszcie Numa „puszcza" Pompiliusza „kantem." Pan Brieux daje nam Numę, która „nie puszcza" Pompiliusza kantem. Mimo całej ultra-naiwnej prudoryi pozwala sobie autor na kilka tak karczemnie cynicznych konceptów, na jakie tylko Francuz w swym salonie zdobyć się może.

Biorę do ręki Lessinga „Hamburgische Dramaturgie" i myślę sobie: Mocny Boże! toć blizko od stu lat wykazują nam najtęższe głowy, jakiemi to śmieciami zarzuca nas literatura francuska! Śmieci te zasypują naszą ruń dramatyczną. Jakich tedy wichrów potrzeba, aby te śmiecie zwiały i aby ruń nasza w złoty łan zboża zamienić się mogła! Jesteśmy widocznie narodem, który chce chodzić nogami niemieckiemi, myśleć mózgiem angielskiem i czuć sercem francuskiem. Gdyby jakiś chochlik zmienił na afiszu nazwisko Brieux na Bryndza, sztuka upadłaby po pierwszym akcie. Najlepsi nasi aktorowie mimo widocznych wysiłków nie byli w stanie uwypuklić postaci, które przedstawiali; mimo staranności reżyseryi świat p. Brieux nie stał się w naszych oczach światem.

Wypada nam w końcu zwrócić się do publiczności. Gdy odezwał się za sceną cichutko dzwonek, zapowiadający ostateczne opadnięcie kurtyny, widzowie zerwali się z miejsc jak niesforna dziatwa w szkółce, gdy pedel zadzwoni, a profesor jeszcze wykładu nie skończył. Jeżeli już nie uszanowanie dla „dzieła" p. Brieux, to bodaj względy dla kilku mistrzów sztuki aktorskiej powinny były widzów zatrzymać na miejscach i wreszcie względy miłości własnej, albowiem bajecznie śmiesznie wyglądali, gdy, przywoływani okrzykami do porządku, przykucnęli, chyląc się jedni za plecami drugich.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

W POLU.

Lubię ja pól obszary niezmierzone okiem,
Co falują w krąg zbożem, jak ocean złoty,
Ze szmerem, jak westchnieniem przeciągłem, głębokiem,
Pełnem jakiegoś żalu i dziwnej tęsknoty...

Lubię patrzeć na grusze, co sterczą do góry,
Niby żagle zielone, z wód złotych odmętu,
Niby szczątki ostatnie — ślad tylko ponury
Zatopionego burzą jakiegoś okrętu...

Lubię śledzić za blasków purpurowych strzałą,
Czepiającą się kłosów, co złudzenie tworzy,
Jakby na pianę morza, co ryczeć przestało,
Kładły się krwawe blaski zachodzącej zorzy.

I smutno mi i tęskno—jakbym w chmur purpurze,
W zbóż złocie i w zieleni, którą nęcą grusze,
Utopił swe marzenia, żale, łzy swe duże,
Pogrążył myśli wszystkie — zaprzepaścił duszę!

I dziwnych uczuć fala sercem mojem miota,
I czuję w całem ciele wiecznych pragnień dreszcze,
Jakby pól melancholia, smutek i tęsknota
Ku tym obszarom miłość mą wzmagały jeszcze!..

Wiktor Dzierżanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

REFORMA ROLNA W GALICYI.

II.

Wzmianka należy się broszurze, która pojawiła się na wiosnę z. b. we Lwowie p. t. „Rozwiązanie kwestyi agrarnej w Galicyi przez zorganizowanie małych gospodarstw postępowych," napisał Stefan Koczarski, kawaler orderu legii honorowej. Nazwiska szan. kawalera skądinąd nie znam, zdaje mi się, że przebywa lub długo przebywał we Francyi, gdyż ugrupowanie tamtejszej małej własności postawił sobie za ideał.

Niepomyślny stan kraju pod względem gospodarstw rolnych przypisuje on głównie dwom powodom: przeludnieniu chłopstwa i niegospodarności panów, co wytwarza nieprawidłowe rozmieszczanie ludności włościańskiej i zbyteczne rozdrobnienie gospodarstw. „Aby powyższemu stanowi zaradzić i stawić zaporę prądom emigracyjnym, trzeba przedewszystkiem dążyć do harmonii (?) w rozłożeniu ludności, a mianowicie: nie uszczuplając obszarów tabularnych, wydzierżawiać majątki na podstawie podziału ich na mniejsze folwarki, względnie zagrody. Zagrody takie oddawać w dzierżawę włościanom inteligentnym i pracowitym, których należałoby wybierać w okolicach przeludnionych i przenosić z rodzinami na nowoutworzone osady, jako dzierżawców, po formalnem zawarciu z nimi kontraktów, bez zaliczki i bez kapitału (?). Właściciele majątków większych staliby się w ten sposób rentierami." Dla przeprowadzenia tego planu autor radzi założyć wielkie stowarzyszenie „Reformy rolnej" z kapitałem 100 milionów złr., zapomina jednak o niesłychanej różnicy, jaka zachodzi między naszym krajem a Francyą tak w jakości ludzi, jak i rozkładzie ziemi, następnie że próba proponowanej przezeń kolonizacyi wewnętrznej miałaby przedewszystkiem charakter i następstwo polityczne (ze względu na skomplikowane nasze stosunki narodowościowe), a co najważniejsza, że nie usunie głównego źródła zła obecnie panującego: wytworzy może kilka tysięcy nowych kolonistów, lecz zostawi bez zmiany starych właścicieli na drobnych, rozpadających się coraz bardziej działkach.

Z szerzej pomyślanego planu reformy wystąpił (na posiedzeniu Klubu konserwatywnego i w osobnej broszurze) znany już czytelnikom dr. Adam Krzyżanowski. Jak poprzedni autor spodziewa się wszystkiego od inicyatywy i pracy prywatnej, tak dr. K. — prawdziwy wychowaniec nowszej szkoły niemieckiej — widzi zbawienie tylko w państwie i prawodawstwie. Ono — zdaniem jego — zawiniło głównie w epoce manczesterskiego liberalizmu, dając wolność obrotu ziemią, podzielność gruntów; ono powinno też wystąpić, jako regulator stanu posiadania, uzbrojone w najpotężniejsze swe środki: w władzę wywłaszczenia i w kredyt.

Pomijam wywody autora o komasacyi, ta bowiem acz w Galicyi bardzo potrzebna, jest kwestyą czysto techniczną i nie dąży wcale do zasadniczych zmian w obecnym podziale własności ziemskiej między poszczególne warstwy gospodarcze. Kwestyą zasadniczą jest usunięcie rozdrobnienia gruntów, tudzież zaopatrzenie warstw nieposiadających, czyli stworzenie „zdrowej" średniej własności chłopskiej. W tym celu proponuje autor szereg

radykalnych, mimo to konserwatywnych środków. Proponuje uznanie przez państwo gospodarstw średnich za całość niepodzielną, których (krom wypadków wyjątkowych) nie wolno uszczuplić ani umowami za życia zawieranemi, ani drogą spadku; dalej oświadcza się za wzbronieniem wydzielania z własności wielkiej parcel mniejszych od ustawą zakreślonego minimum. Ilość średnich gospodarstw w kraju jest jednak niesłychanie szczupłą; dla powiększenia jej zaleca autor dwa śmiałe środki: przymusowy wykup tych gruntów chłopskich, których rozdrobnienie uniemożliwia postęp techniki rolniczej oraz kolonizacyę wewnętrzną przez zakup gruntów wspólnie przez gminę dotąd używanych, zużycie dóbr funduszu religijnego, wykup znacznych obszarów tabularnych.

Są to projekty — jak widzimy—daleko idące, a mające na oku cele więcej polityczne, niż gospodarcze i humanitarne. Dla zasady stworzenia zdrowej średniej własności, będącej warownią konserwatyzmu, tem bardziej, że w danym wypadku zależnej od łaski czynników rządowych, autor przez niepodzielność gruntów robi chłopa niewolnikiem ziemi, przez wywłaszczenie zaś posiadaczy drobnych— mnożyłby proletaryat.

Poglądy dr. Krzyżanowskiego są mniej więcej wyrazem opinii młodego Klubu konserwatywnego w Krakowie. Staraniem tego klubu tudzież krak. komitetu Towarzystwa rolniczego, uczyniły nareszcie sfery rządzące w Galicyi krok, do którego żywioły postępowe wzywały je oddawna: Wydział krajowy zwołał na ostatnie dni ubiegłego miesiąca naradę rolniczą. Dziwić się istotnie można, że na tę naradę trzeba było czekać tak długo; nędzę galicyjską rząd nasz krajowy teraz dopiero oficyalnie „przyjął do wiadomości.“ Konferencya się odbyła i wydała rezultaty bardzo zajmujące.

Brali w niej udział członkowie Wydziału krajowego i matadorzy t. zw. stałej krajowej komisyi rolniczej (lucus a non lucendo!), członkowie Klubu konserwatywnego, towarzystw rolniczych i wielcy właściciele ziemscy. Chłopów raczył Wydział krajowy zaprosić tylko dwóch: znanego posła Bojkę i Rusina Huryka; ze znaną tendencyjnością pozbawiono się tedy głosu najbardziej w tej sprawie zainteresowanych, tj. włościan, głosu ich żalów i potrzeb, opinii ich o prądach w sprawie reformy rolnictwa. „Rachunek zrobiono znowu bez gospodarza“—jak zawsze. A szkoda, głosy chłopów byłyby niezwykle zajmujące. Taki Huryk zaprosił był wprzódy około 200 znajomych gospodarzy, przedstawił im kwestyonaryusz Wydziału krajowego, rozebrał kwestyę, tak że przez jego usta przemawiała opinia bardzo liczna.

Na naradzie wyłoniła się różnica zdań zbyt silna, aby mogła doprowadzić do jednakowego rezultatu programowego—i nic w tem dziwnego. Były reprezentowane wszystkie kierunki. Słyszeliśmy prawdziwego „Podolaka,“ p. Federowicza, który oświadczył mniej więcej, że żyjemy w najlepszym ze światów, gdyż chłopi dosyć często dokupują sobie ziemi, a parobkom dzieje się także bardzo dobrze, czego dowodem, że mówca u siebie z grzywien, nakładanych na parobków, zbiera kasę zapomogową! Słyszeliśmy „szkołę krakowską,“ a właściwie niemiecką, która przez p. Krzyżanowskiego, dr. Dąmbskiego, Górskiego, Hupkę całą winę złego widziała w błędnem ustawodawstwie „liberalnem,“ zezwalającem na rozdrabnianie gruntów, a lekarstwo — w ustawodawstwie konserwatywnem, normującem przymusowo stosunki posiadania. Przeciwko temu występowali wschodnio-galicyjscy „praktycy“; słusznie całkiem dowodził ich imieniem prof. Ochenkowski, że winą złego stanu rzeczy są wyłącznie stosunki ekonomiczne, a mianowicie charakter rolniczy kraju. Jedynem oparciem włościan jest ziemia, innego nic mają, więc się jej trzymają i dzielą między siebie. Ograniczenie lub zakaz dzielenia spowodowałby jeszcze większą proletaryzacyę.

Co tedy robić?

(D. n.).

W. Feldman.

O PRAWDĘ.

W nr. 42 *Prawdy* zamieściliśmy artykuł p. J. K. p. t.: „Nowożytne kierunki w malarstwie.“ Otóż p. Cezary Jellenta uznał, że artykuł ten jest bądź przeróbką, bądź dosłownem powtórzeniem jego zdań, wypowiedzianych w (świeżo wydanej) książce „Galerya ostatnich dni“ i „Estetyce,“ a na dowód przesłał nam poniższe zestawienie, które czytelnikom pozwoli osądzić słuszność tej pretensyi:

Nowożytne kierunki.	Galerya ostatnich dni.
Orzeźwiający prąd powiał po sztuce współczesnej. Młode, silne i wrażliwe organizacye odczuły bezsensowność krępowania polotu wyobraźni tysiącem przesądów, teoryj i szkół, albo inaczej—sposobów malowania.	Powoli, powoli, zmieni się i uzupełni ta jeszcze niewielka galerya nowych czasów i da więcej miejsca swobodzie, i złamie tyranię przeciętnych obowiązkowych kątów widzenia.
Zrozumiano, że celem sztuki nie może być kopiowanie natury, ani też szerzenie moralnych lub filozoficznych idei, lecz udzielanie ludziom rozkoszy przez silne wrażenia.	Myli się, kto mniema — choćby nawet sam był malarzem — że na to dusza artysty przechodzi w swym rozwoju całe piekło i czyściec „Boskiej Komedyi,“ ażeby prawo i zdolność naśladowania, odtwarzania natury stały mu za niebo. Sztuka ma prawo współzawodniczyć z nią i na równi z nią tworzyć, wolno jej stwarzać wrażenia, wzruszenia i wstrząśnienia.
Wszystko więc w sztuce współczesnej zmierza do jednego celu — do wywołania u nas tego tajemniczego dreszczu, który wstrząsa całą naszą istotą, dając nam jedną z największych rozkoszy świata. (tu: który wstrząsa całą naszą istotą) (tam: całą istotę ludzką ogarniające).	Wszystkie chcą osiągać wzruszenie możliwie silne, głębokie i pełne, tj. całą istotę ludzką ogarniające, jeżeli tylko zdoła temi sposobami stworzyć nowe wzruszenie, potrącić drzemiące struny, zbogacić ducha ludzkiego nowymi stanami lub choćby tylko stworzyć nowy dreszcz. tj. odrzucić wszystko, co rozrywa uwagę i rozstrzela wrażenie na rzeczy uboczne i mniej potrzebne. Wtedy to otrzymamy tę jedność i szybkość, dorażność, błyskawiczność wrażenia, jakie niekiedy udaje się osiągnąć wielkim malarzom.
młodzi twórcy uświęcili wszystko, co tylko zwiększa plastykę i siłę nastroju, zdeptali wszystkie tradycye i utarte formułki — uniesieni płomienną, nieznającą hamulca, wyobraźnią, stworzyli sztukę wielką i porywającą, dziką i nieokiełznaną.	którzy stopili zuchwale wszystkie drobne efekta i kształty w jednej potężnej plamie obrazu, w jednym potężnym akcencie i nastroju: zgrzycie, wichrze, piorunie, zasępie, grozie, bujności. U niej cel bezwarunkowo uświęca środki; jeśli zdoła na prawdę tworzyć to wolno jej nie przebierać w sposobach i kopać nogami nawet samą naturę i najlepsze ceny gości wystawowych i najżyczliwsze krytyki.
pełną jęków wichru, wycia, huraganu, szumu lasów, ryku mórz, ledwie dosłyszalnego szelestu liści, oślepiających blasków słońca.	którzy stopili zuchwale wszystkie drobne efekta i kształty w jednej potężnej plamie obrazu, w jednym potężnym akcencie i nastroju: zgrzycie, wichrze, piorunie, zasępie, grozie, bujności.
tajemniczych półmroków wieczorowych i czarnych nocy.	co z tajemniczych mroków jesieni, z czarnego przestworza smutku odziera je z tajemniczej i czarnej głębi
sztukę potężną i straszną jak orkan, łagodną i kojącą zarazem, jak letnia noc księżycowa.	Ta chęć, ta pasya raczej z każdym dniem wzrastając, czyni sztukę z łaskoczącej wzruszającą, z bezmyślnej głęboką itd. (str. 327). Huragan z każdego wogóle uczucia, miotającego duszą ludzką.
Muzyka Chopina najlepiej oddałaby wrażenia, jakie wieją z utworów ostatniej doby, chociaż posiada ona w swych namiętnych, upajających poematach zbyt wiele jeszcze prostoty, która nie wyraziłaby tego np. drażniącego	I dlatego artysta ten stoi daleko bliżej Chopina, niż Ujejskiego — podniósł on lirykę pierwszego do tragedyi szału.
nieokreślonego nastroju jaki nas ogarnia po przeczytaniu „Siedmiu królewien“ lub „Ślepców“ Maeterlincka. Te nagle spadające czarne zasłony po chorobliwym i jakby niedokończonym gorączkowym dramacie, tu ludzkość ślepa i bezbronna, pozostawiona w dzikiej okolicy leśnej, gdzie śniegi padają, liście zwiędłe z szelestem tajemniczym wirują dokoła i wicher mroźny przenika do szpiku kości.	podziwiać Mauryceego Maeterlincka, mistrza milczeń, niedomówień, niewidzialnych jak cienie widm mroku, grozy i fatalności. Łatwo tedy wyobrazić sobie, jak taka organizacya nawykła do pluskania się w ciężkiem i grzęskiem błocie karyery—poruszać się będzie w eterach poezyi belgijskiego wizyonera, przenikających do szpiku kości.
ta kobieta w dzikim „Szale,“ obejmująca namiętnie rozhukanego konia potwornego.	(Motyw, na którym ja ciągle jeżdżę).
te ogłuszające dźwięki przeraźliwych instrumentów w muzyce Wagnera — oto sztuka nowożytna.	Podobnie brutalną subtelność i subtelną brutalność widać w obrazach i muzyce Wagnera.
Rozkiełznanie niepohamowanych temperamentów i fantazyj, brak wszelkiej t. zw. „miary estetycznej,“ brak tego pierwiastku, który był ongi ideałem Greków, a potem panował wszechwładnie aż do najnowszych czasów, tj. ujmowania myśli w jakieś ściśle określone, skończone, harmonijne kształty charakteryzuje najnowsze dążenia artystyczne, wyzwolone nareszcie zupełnie z pod wpływów klasycznych. Porywać, olśniewać, podbijać — stało się hasłem „niezależnych“ i zmieniło dawne zaprawne filisterstwem: zdumiewać.	Jest to dlatego jeszcze brutalne, że rozbiera raz wypatrzony nastrój lub uczucie, słowem, ów motyw żywiołowy, z wszelkiej elegancyi i okrągłości ze wszystkich osłonek i domieszek estetycznej tak zwanej miary i przyzwoitości. Dominuje on nad całością lub w całości i nastraja duszę naszą jednym tylko, ale za to niezawodnym kamertonem, wprawia nas w stan jednego tylko estetycznego czucia, ale to czucie nas ogarnia całych, porywa, zalewa jak strumień. I bardzo naturalnie — ono swe źródło mieć musi i miewa nie w chłodnym kombinującym umyśle.
Upajać się pragną dzisiejsze pokolenia, a nie zachwycać. Haszyszu, zapomnienia, oderwania od cierpień i brudów świata żądamy od sztuki.	zapragną się upić tym mocnym trunkiem czynią takiż mocny i intensywny odurzający ekstrakt sami się nim upajają i nim częstują widzów.
Wielkich wstrząśnień nam trzeba nie sentymentalnych, choćby najbardziej zharmonizowanych sielanek.	„Ogół wykształcony“ nie przychodzi do obrazu po wrażenie, po wstrząśnienie.
lecz uniesień namiętnych, nie wody z cukrem, lecz wina.	A już skoro możliwi są ludzie, którzy wolą parę kropel silnego trunku, niż kwartę zabarwionej, słodkawej wody, to co zrobią tacy wobec panoramy?
Dajcie nam wrażeń silnych! — wołają obecnie ci, co umieją cierpieć.	Łakną wzruszeń silnych i skomplikowanych. Prawdziwa więc intensywna sztuka jest zawsze przystępną szczupłej garstce ludzi dobrej woli, pragnących ideału zgadzających się cierpieć. (Estetyka 244).
Komuż nie wryła się w mózg na zawsze ta żółta okropnie wykrzywiona w namiętnym rzu-	Proszę spojrzeć na tę obłąkana z rozpaczy twarz, na te usta rozdarte krzykiem nadludzkim, wście-

cie rozpaczy ręka i twarz trupia w „Marszu pogrzebowym."

kłym — krzykiem, który zda się być zuchwałem pytaniem: skąd ta krzywda, jaka racya tego okrucieństwa tej postaci, proszę spojrzeć na te wyciągnięte w okamieniałem spiorunowaniu ręce.

Ta sztuka prawdziwie wielka, sztuka nieokiełznanych, olbrzymich namiętności — nie istnieje dla tłumu. On jej nie rozumie i nazywa przesadą to, co w niej jest potęgą. Jest to sztuka geniuszów dla wybrańców tylko. Tłumy ją mogą podziwiać, ale nie odczują nigdy jej treści bezdennej, w której tkwi myśl wyższa ponad wszystkie filozofie — myśl cierpienia.

Tylko natury wrażliwe i pełne potrzeb duchowych niezadowolone z leniwego biegu powszedniego życia, z monotonii, płaskości i banalności i moralnej małości łakną wzruszeń silnych i skomplikowanych. Prawdziwa więc intensywna sztuka jest zawsze przystępną szczuplej garstce ludzi dobrej woli; pragnących ideału, zgadzających się tylo cierpieć i tyle umysłem pracować, ile cierpienia i pracy umysłowej potrzeba dla zrozumienia dzieła sztuki, jest zaś ona jednocześnie nieprzystępną i najczęściej nienawistną szerszemu ogółowi (Estetyka, str. 244).

Niezawodnie oba wielkie salony przepełnione będą dziełami Chełmońskiego, Gierymskiego, Podkowińskiego, Witkiewicza.

(Nazwiska, około których przeważnie obraca się „Galerya ostatnich dni").

Trzeba słyszeć zachwyty nad każdą udatnie namalowaną poręczą od krzesła lub paznokciem na ręku, „odstającą" od obrazu draperyą lub wspaniale zrobionemi owocami.

Biada mu, jeśli zamiast przenieść — zniweczy coś, zaniedba, za mało namaluje szpilek w koszuli, piór na kapeluszu, fałd w rękawie.

Podkowińskiego uczciliśmy dopiero — po śmierci i nie trzeba się dziwić, dlaczego wielu z tutejszych zdolnych artystów maluje rzeczy szablonowe.

(Treść i cel mojego artykułu, zamieszczonego w *Prawdzie* i włączonego do „Galeryi ostatnich dni").

tym razem w sztuce — jednak jeżeli kto ma talent, odczucie natury i godność artystyczną, ten niech nie idzie śladem tych pań, które zajmują się malowaniem „Owoców," ani tych ludzi, którzy chcą wszędzie propagować „rozsądek" — i niech stara się tworzyć.

Jest to prawo, które rządzi zarówno rozwojem treści, jak i postępem środków i wybiegów technicznych, i zmusza do tworzenia dzieł z niewidzialnych dla zwyczajnego ogółu ziaren przyszłości i wymaga od dzieł tchnienia jutra, zamiast biernego odtwarzania.

trzeba widzieć z jaką starannością omijają nasi mecenasi sztuki takie naprzykład obrazy itd., z jakiem lekceważeniem omijają

przychodzi oto na wystawę zbogacony kupiec, tłuścinki fabrykant trykotaży lub powieści i chce spłacić podatek „szlachetnym pożądaniom swego [illegible]"

Jest (myśl) ona treścią dzieła i duszy autora, choć niema w utworze tego wyraźnego naginania natury do idei, jak w dowodzeniu matematycznem. Myśl wypływa dopiero z obrazu jako wniosek, a jeśli jest silną i oryginalną, przyczynia się również do spotęgowania wrażeń.

Nie potrzeba wiadomej tendencyi, ażeby w sztuce to, co trwałe, wzniosłe, reformujące, krytycznie pokonywało to, co schlebia zmysłom, gnuśności, przeciętności, pospolitości, miernocie itd., sama siła wzruszenia wymaga tego (Estetyka, str. 244).

W DALI.

Suwałki. Korespondent *Kuryera Warsz.* kreśli bardzo smutny obraz namiętności karcianej, podsycanej nieustannie przez szulernie w Suwałkach. „W jednej z takich jaskiń pod skrzydłami restauracyi niemal co wieczór schodzi się po kilku i kilkunastu mężczyzn, którzy nieraz całą noc trawią na grze w landskuechta, sztosa itd. Zdarzają się wypadki, że gracze zasiadają do stolików w sobotę wieczorem, a wstają od nich dopiero w niedzielę w południe. Gra odbywa się w pokoju oddzielnym, do którego wstęp mają tylko wtajemniczeni. Kółko graczy rozszerza się coraz bardziej, mania szulerska ogarnia coraz większe koło mieszkańców Suwałk, i to ze sfer inteligencyi, która powinnaby raczej być wzorem dla innych. A tymczasem w „Monaco" suwalskiem przyjaciel ogrywa przyjaciela, kolega odbiera koledze grosz ostatni. Niejeden z nich po nocy, strawionej na grze, wraca do domu, nie wiedząc, skąd wziąć pieniędzy na obiad dla żony i dzieci. Jakie po powrocie głowy rodziny do domu odgrywają się tam sceny rozpaczy, pojąć łatwo. Niejeden, przegrawszy pensyę całomiesięczną, wpada w szpony lichwiarzy, aby już się z nich nie wydobyć, aby brnąć dalej w długi." W taki sposób prowincya wyraża swoją żywotność!

Kijów. W. hr. Tyszkiewicz na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego w Kijowie postawił wniosek i uzasadnił konieczność urządzenia pól doświadczalnych, któreby zachęcały włościan do lepszej uprawy ziemi, tworząc niejako bodziec do postępu. Urządzenie takich pól prowadziłoby, zdaniem hr. Tyszkiewicza, do nawiązania bliższych stosunków z Towarzystwem rolniczem, które mogłoby wtedy wyjednać kredyt na zakup ulepszonych narzędzi i nasion. Tygodnik kijowski, *Ziemledielje*, odzywając się z uznaniem o tym projekcie, pisze: „Zaprzeczyć niepodobna, że brak w kraju naszym ziemskich organów, brak wspólnostanowych instytucyj rolniczych nader ujemnie odbił się na kulturze gruntów, należących do własności mniejszej. Chociaż ostatnia wystawa rolnicza w Kijowie świadczyła o rozwoju naszego rolnictwa, łudzić się nie należy, albowiem postęp dotyczy gospodarstw większych, włościanie natomiast trzymają się uparcie starego systemu gospodarki. A własność drobna stanowi większą część całego terytoryum. Wcześniej, czy później zająć się tą sprawą potrzeba, a im prędzej, tem lepiej."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę warszawskiego Towarzystwa opieki nad nieuleczalnie chorymi. Założyciele pp.: W. Górski, hr. Czacki, hr. A. Potocki i ks. M. Woroniecki.

— P. Jan Lech, nauczyciel przy szkole polskiej w kolonii Santa Barbara (Brazylia) otworzył pierwszą czytelnię dla rodaków. Obecnie za pośrednictwem pism zwraca się do społeczeństwa polskiego z prośbą o zasilanie owej czytelni. Książki i czasopisma można posyłać pod adresem. Joao Lech, Mestre de escola Polaco, Santa Barbara, mun. Palmira, Brazil, Parana. Kolonia liczy 200 rodzin polskich osiadłych tam przed sześciu laty.

— Zdania komisyj specyalnych w sprawie wprowadzenia ziemstw w guberniach zachodnich już są opracowane i wysłane do Petersburga. Komisya wileńska uznała, że wprowadzenie ziemstw jest pożądane, ale że należałoby w takim razie wykluczyć z nich żywioł szlachecki. Grodzieńska uznała, że wprowadzenie ziemstw nie jest pożądane, natomiast należałoby wprowadzić pewne reformy w ustroju administracyjnym. Kowieńska przyszła do przekonania, że wprowadzenie tych instytucyj jest ze wszech miar pożądane, aby zaś mogła być z nich wyciągnięta cała korzyść, należy je wprowadzić bez żadnych ograniczeń.

— Przepisy, ograniczające urzędowanie na kolejach osób nierosyjskiego pochodzenia i wyznania nieprawosławnego p. minister komunikacyj uchylił. Tak przynajmniej zapewniają *Mir. Otg.*, na których odpowiedzialność tę wiadomość zaznaczamy.

Szkoły. Ministeryum oświaty pozwoliło utworzyć w uniwersytecie warszawskim posadę drugiego laboranta nadetatowego w pracowni patologii ogólnej. Pod jego pieczą będzie dział bakteryologiczny pracowni.

— Mieszkańcy Sosnowic skarżą się na brak szkoły elementarnej bezpłatnej dla dzieci ubogich płci obojej. Korespondent *Kuryera Warsz.* dla zachęty obowiązuje się złożyć na ten cel rs. 100 i 500 kajetów.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa opracowało projekt nowych szkół górniczych z kursem czteroletnim. Wychowańcy tych zakładów otrzymywaćbędą tytuł sztygara.

— Wskutek porozumienia się ministeryum z władzą duchowną rzymsko-katolicką, modlitwa przed lekcyami w szkołach gubernii południowo-zachodniej będzie odmawiana po [illegible].

— Według orzeczenia ministeryum oświaty, pozwolenie na kursy niedzielne i wieczorne dla robotników mają prawo wydawać kuratorowie okręgowi, bez odwoływania się do ministeryum.

— Wszczęto u władz wyższych starania, ażeby z podatku od towarów, przychodzących do Łodzi, przeznaczyć 25,000 rs na rozszerzenie miejscowej wyższej szkoły rzemieślniczej,

— Do ministeryum skarbu wniesiono podanie o otwarcie w Łodzi wyższej szkoły przędzalnictwa, tkactwa i farbierstwa.

— W Jekaterynosławiu powstaje szkoła inżenierów górniczych. Dnieprowskie Towarzystwo metalurgiczne udzieliło na założenie jej znacznego za[illegible].

Prasa. Z postanowienia ministra spraw wewnętrznych udzielono pierwszego napomnienia tygodnikowi *Russkij Trud* za użycie ostrych wyrażeń w artykule o prawosławnej władzy duchownej.

— Z d. 1 grudnia r. b. wychodzić zacznie w Łodzi pod redakcyą p. Wiktora Czajewskiego dziennik polityczny, społeczny, ekonomiczny i literacki p. t. *Rozwój*.

Odczyty. Zarząd odczytów przyrodniczych w Muzeum przemysłu i rolnictwa, pragnąc uprzystępnić je niezamożnym, postanowił sprzedawać bilety ostatnich pięciu rzędów krzeseł po kop. 10.

Koleje i komunikacye. Rozpoczął się ruch osobowy i towarowy na dystansie Psków-Bołogoje kolei Rybińskiej.

Wystawy i zjazdy. Oddział kijowski komitetu zjazdu archeologicznego, który ma się odbyć w sierpniu 1899 r., już dziś pracuje nad sporządzeniem wykazu i opisu muzeów tudzież zbiorów w guberniach południowo-zachodnich, gdzie właściciele ziemscy odznaczają się szczególnem zamiłowaniem do gromadzenia zbiorów. Najzasobniejsi są pod tym względem: ks. Sanguszko w Sławucie, hr. Potoccy, Sobańscy, ks. Lubomirscy, hr. Braniccy.

Przemysł i handel. Komisya, badająca przyczyny przesilenia rolniczego, zwróciła baczną uwagę na dwie potrzeby, uznane za najpilniejsze: rozpowszechnienie śród włościan wiadomości agronomicznych i zniżenie cła od machin rolniczych i nawozów sztucznych.

D. 13 listopada w Kijowie otwarto laboratoryum chemiczno-rolnicze oraz stacyę oceny nasion przy miejscowym syndykacie rolniczym. Kierownikiem tych nowych oddziałów jest przysłany przez ministeryum magister agronomii, p. Słozkin.

— Staraniem władz administracyjnych w Płocku powstaje lombard miejski.

— Na giełdzie kawy w Amsterdamie (16 listopada) objawiła się znaczna zniżka cen. Średnią Jawę na miejscu oddawano po 45—35 ct. Tę niebywałą zniżkę przypisują ogromnemu urodzajowi kawy w Brazylii.

Katastrofy kolejowe. Na poczdamskiej kolei obwodowej w Berlinie d. 16 b. m. pociąg skutkiem zepsucia się hamulca wpadł gwałtownie na stacyę. Lokomotywa i pierwszy wagon zmiażdżone. Stracił życie maszynista, Kuliński.

— D. 18 b. m. około 5-ej rano ze stacyi Strzemieszyce kolei Dąbrowskiej, wyruszył pociąg towarowy, a wkrótce po nim w tę samą stronę górniczy, który, idąc szybciej, najechał na pierwszy. Uderzenie było tak silne, że trzy ostatnie wagony pociągu towarowego zdruzgotały się. Konduktor, Marceli Sobocki (37 lat), ma złamane dwa żebra, Stanisław Socha (lat 41) przygnieciony; dwu włościan, Jan Kuliczek (lat 30) i Jan Dudas (lat 37) mają połamane żebra i ręce.

Zmarli. Dr. Stanisław Krysiński, w Warszawie. Wydał „O sacharymetryi optycznej," opracował „Słownik terminologii anatomicznej." Pracy tej zaledwie kilka arkuszy zdążył wydrukować.

— Kazimierz Filipowski, w Abazyi. Długoletni sekretarz redakcyi *Kuryera Warsz.*

Odpowiedzi Redakcyi.

Walmiki. Wiersz bardzo słaby. Przytem uwaga: niech Pan nawet w listach nie używa wyrazu *takowy*, bo on już dziś pozostał jedynie ozdobą stylu kancelaryjnego.

— Komitet Zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia d-ra J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w roku 1901 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznaną będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899 i 1900; druga zaś za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasy własnem staraniem będzie usiłował zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała nr. 7) lub na ręce jednego z członków Komitetu. Regulamin przyznawania nagród mieści się w szóstem sprawozdaniu z czynności Komitetu (za rok 1887) i każdemu, na żądanie, nadesłany być może.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Ноября 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.